Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. Niedziela, dnia 28 sierpnia 1938 r. Nr. 35



Burza

Wybiegły naprzeciw wieczoru
wierzby płaczące.
O, jak prędko zbliża się noc,
— jakże nisko nad nami słońce
zachodzi łuną zamgloną —
żagle zachodu
przesunęły się ku wschodniej
lasu — [stronie
— Dokąd to tak spieszycie jaskółki?...
— Ciwirr... ciwirr!...
uciekamy przed burzą —
nie mamy czasu —
Już wieczór w noc powrotną się zanurza.
— Dobranoc, łąko —
— Dobranoc, pole —
Zbliża się burza...
Najpierw wiatrem
zaszeleściło w pobliżu,
zanim niebo złotą smugą krzyża
parną przestrzeń
przecięło zygzakiem...
i znów błysk,
grom —
nocy — granitowy złom
runął ciężarem chmur
z otchłani gór,
spiętrzonych deszczem....
I znów cisza — —
zaledwie wiatr
parnym oddechem zaszeleścił
— — — zapachniało skoszoną łąką,
krzakiem polnej, rozkwitłej róży...
gwiazdy odmawiają modlitwę
dalekim przebłyskiem
żegnanej burzy...

Józef Baranowski.

MARIA REUTT

POD OBUCHEM POSĄDZENIA

Rumieniec łuną przesunął się po twarzy Natalki.

— Tak mało wychodzę — usprawiedliwiała się.

— To niedobrze — orzekła pani profesorowa. — Taka młoda osóbka powinna bywać jak najwięcej w świecie, ruszać się, bawić...

Natalka westchnęła.

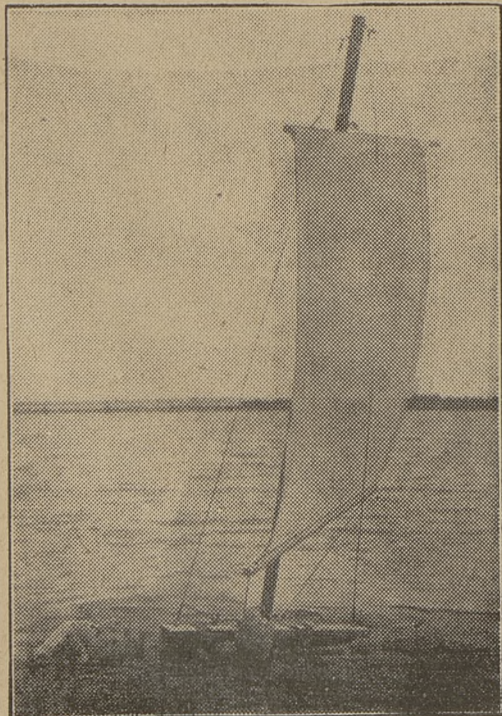
— Kiedy tutejsi ludzie tacy jacyś dziwni, inni od tych, których spotykałam w Warszawie.

Spojrzała na nią bystro profesorowa swoimi mądrymi, dobrymi oczami.

— Niech pani jaśniej wytłumaczy, co pani ma na myśli.

Natalka spuściła głowę i wahająco mówiła:

— Tam, w Warszawie, spotykałam na pensji tylko Polki, bywałam w domach koleżanek. Rozmawialiśmy tam dużo o wszystkim, poruszaliśmy wszelkie tematy i polityczne i społeczne, nie krępując się, wyrażając otwarcie swoje myśli i przekonania. Nie słyszałam nigdy, żebym o tych paniach, które spotykałam, mówiono, że ta ma kochanka, tamta romansuje, inna rzuciła męża, a ta odbiła cudzego, tę przed ślubem znali bliżej wszyscy mężczyźni w okolicy, a ta znów żyć nie może bez adoratorów, nazywając „pokarmem duszy" ich niewybredne pieszczoty. Gdy się nasłucham tych plotek, to mam wrażenie, że dostałam się do jakiegoś domu rozpusty, gdzie poza romansami i zwierzęcym życiem zmysłowym nie ma w tych ludziach żadnego człowieczego uczucia, myśli i pragnienia i tak mi wtedy smutno i jakoś dziwnie nieprzyjemnie. I ta atmosfera przeraża mnie i odstrasza i taka się czuję obca, jak zabłąkana do cudzej obory owca.



Pływaczka z żaglem. Nowe ułatwienie dla wygodnych ludzi.

Profesorowa położyła swą dłoń na splecionych rękach młodej kobiety.

— Pani trafiła nie w to środowisko. Jak istnieje fizyczny dobór, tak również istnieje i moralny. Ludzie o złych instynktach dobierają sobie podobnych i pokrewnych i czują się wtedy najlepiej. Kobiety złe, przewrotne, rozpustne, o słabej woli, a dużej głupocie dobierają się w kółka i doskonale się bawią po swojemu. Czasami zabłąka się wśród nich jakaś biała duszyczka i czuje się w tym dobranym towarzystwie tak jak pani. Jest staropolskie przysłowie: — Swój swego poznał i na piwo pozwał. — A przysłowia, jak pani wie, są mądrością narodów. Wojna, bolszewizm zdeprawowały masę jednostek, rozluźniły obyczaje wśród pokolenia dorosłego i dorastającego w czasie wojny, bo nie było czasu zajmować się ukształtowaniem ich charakteru, ale nasza obecna młodzież, wychowywana w normalnych już warunkach, pokolenie pani jest po większej części takie jak pani czy tu, czy w innych częściach Polski.

Natalka podniosła głowę i z wdzięcznością uśmiechnęła się do pani domu.

— Dziękuję pani, tak mi dobrze zrobiło to rozgadanie się i wygadanie przed panią.

— Mnie również — odwzajemniła się profesorowa — i mam nadzieję, że zawrzemy bliższą ze sobą znajomość.

* * *

Natalka przy obiedzie miała takie wesołe oczy i pogodny wyraz twarzy, że Juliusz zwrócił na to uwagę.

— Spotkało cię coś przyjemnego — spytał żony.

Opowiedziała mu o wizycie u profesorowej.

— Bardzo się cieszę, że zapoznałaś się z nią bliżej, gdyż jest to bardzo dzielna i zacna niewiasta. Znam jej historię, opowiadał mi o niej adwokat Puszczyk, który ją znał od dziecka. Wyszła za mąż, gdy miała lat osiemnaście. On miał wówczas dwadzieścia cztery lata i był na ostatnim kursie filologii. Mieszkali rok na poddaszu, utrzymywali się z lekcji. Ukończył uniwersytet podczas wojny. Zabrali go na wojnę, na front, skąd dostał się do niewoli. Przesiedział do 1918-go roku, do jesieni w obozie Kottbus. Gdy wrócił był to już strzęp człowieka bez woli i siły.

Zamknęła się z nim w lecznicy na pół roku. Spała przy nim na podłodze, pielęgnując go dzień i noc. Przyszedł do siebie, dostał posadę w Wjunogrodzie i mieszkają tu już od ośmiu lat...

— — — — — — — — —

Powiedziała mu, że ma zamiar pracować w komitecie dla bezrobotnych.

Pochwalił ten jej zamiar:

— Będziesz miała jakieś stałe zajęcie.

Odchodząc do kancelarii przypomniał jej, że o siódmej mają być u Masłowych.

Zasępiła się.

— Nie lubię jej — mruknęła.

Zatrzymał się przy drzwiach.

— I ja nie przepadam za tym towarzystwem, ale pamiętaj, że jesteś żoną adwokata i moja kariera wymaga, byśmy dobrze żyli ze wszystkimi obywatelami Wjunogrodu bez różnicy wyznania i przekonań.

Posłał jej uśmiech zachęty i znikł za portierą.

Natalka westchnęła ciężko.

— — — — — — — — —

Przyszli do Masłowych prawie ostatni. Zastali już panią Karen, państwa Wermińskich, Niekraszewiczów, pan Horeglada, weterynarza powiatowego z żoną Rosjanką, udającą zdetronizowaną królową, adwokata Pawłowa z żoną Polką, ekspułkownika armii rosyjskiej, sędziego z żoną, kasjera banku, zastępcę komisarza ziemskiego i kilku nieznajomych młodych ludzi.

Żonaci panowie grali w bridża, kłócąc się i wymyślając sobie wzajemnie. Pan domu i młodzi ludzie bawili panie, ale z miny pana Masłowa widać było, że czuł się srodze znudzony. Ustawicznie spoglądał na drzwi jadalni i nadsłuchiwał stamtąd odgłosów.

Na widok Natalki rozpromieniła mu się poczciwa, szeroka twarz i małe oczka zaśmiały radośnie. Uważał ją za wybawicielkę. Całował ją długo po rękach i ująwszy pod ramię prowadził do kanapy, gdzie już siedziały panie. Zrobiły jej skwapliwie miejsce obok siebie.

— Nareszcie państwo przyszli — ucieszyła się pani Marysia.

— Czekaliśmy tylko na panią — objaśnił pan domu.

— Tym razem wina to mego męża — usprawiedliwiała się. — Miał dziś w biurze dużo zajęcia.....



Na chwilę przed uderzeniem piłki, gracz w golfa musi przybrać odpowiednią pozę, i wytężyć wszystkie siły.

— I dlatego widziałam go dziś po południu spacerującego po ulicy Kościuszki z panią Zenią — zrobiła złośliwą uwagę sędzina.

— A gdyby panią spotkał w mieście i przeszedł się z nią po placu 3-go Maja, czy i w tym również byłoby aż tak coś dziwnego — odparowała Natalka znudzona aż do obrzydzenia tymi ciągłymi plotkami i insynuacjami.

Zmieszała się sędzina i spojrzała nieufnie na Natalkę. — Czyżby jej ktoś powiedział — przemknęło jej niespokojnie przez myśl.

Gdy Juliusz był jeszcze studentem, kiedyś tam... pewnego lata chodzili parę razy na spacer torem kolejowym, odpoczywając w krzakach, specjalnie zasadzonych wzdłuż toru kolejowego. Noce były ciemne, parne, od błot szły niskie szare mgły, rechotanie żab i rozhowor nocnych owadów i ptaków, od rzeki świeżość i cisza, no... i... coś tam było między nimi, coś, co się nie powtórzyło więcej, a czego teraz nie lubiła, gdy jej wypominano.

Zmieniła czym prędzej temat rozmowy.

— Ma pani takiego przystojnego męża, nie boi się pani o niego? Nie jest pani nic a nic zazdrosna?

Natalka spojrzała na Juliusza, który mówił o czymś z kilku panami, stojąc oparty o ścianę. — Tak, rzeczywiście był bardzo przystojnym mężczyzną i gdyby nie to okropne wspomnienie tam w leśniczówce...

Zetknęli się wzrokiem. Oczy jego ciemnobrązowe schwyciły jej spojrzenie i przytrzymały mocno.

Zmieszana odwróciła oczy, w przelocie zahaczając wzrokiem o twarz pani Karen, zwróconą na Juliusza. Oczy jej miały błogi wyraz zadowolenia i zachwytu.

Ogarnął ją pusty śmiech, który z trudem opanowała. — I ta.. to stare czupiradło! Widocznie jest w guście starych bab — pomyślała z odrobiną złośliwości.

Nareszcie otworzyły się drzwi od jadalni i w jasnej smudze mlecznego światła stanęła pani domu, rozrosła w biodrach i ramionach brunetka o śniadej twarzy i wyzywających, okrągłych czarnych oczach.

Z Natalką przywitała się z wylaną czułością. — Byłam już w strachu, że państwo zawiodą i nie przyjdą.

— Proszę na skromną gospodarską kolację — wskazywała na stół, uginający się od przysmaków.

Ruszono hurmem i z gwarnym pospiechem. Kawior, ryby rosyjskie wędzone, sardynki, majonezy, galarety, pasztety, sałatki dostojnie czekały swego losu.

Usiedli jak kto chciał. Pani Zenia znalazła się u boku Juliusza, mając naprzeciw siebie panią Karen. Natalkę usadowiono przy weterynarzu, który dosyć obojętnie przyjął jej towarzystwo, zajęty obserwowaniem przysmaków na stole.

...Wódeczka, zakąska i znów wódeczka...

Rozwiązują się języki. Panom mętnieją spojrzenia, czerwienieją nosy, paniom różowieją policzki i błyszczą oczy, świecą się noski.

Maleńka karteczka, wyrwana z notesika i kilka słów nabazgranych ołówkiem ręką pana Horeglada wędruje poprzez stół do pani domu. — „Uroczo pani wygląda, ale wtedy... wówczas... jeszcze ładniej. Kiedy znów spędzimy razem miłą chwilkę?"

Pani Masłowa przeczytała kartkę z uśmiechem zadowolenia i niedbale wsunęła



Dezerterzy z hiszpańskiej armii czerwonej są nader dobrze traktowani przez żołnierzy gen. Franco.

ją za gors, mrugnąwszy panu Horegladowi porozumiewawczo.

— Wkrótce — obiecuje szeptem, podsuwając mu z uśmiechem przymilnym rybę po grecku.

Nie tylko Natalka zauważyła ten ich manewr, spostrzegł go i mąż; poruszył nerwowo obwisłymi wąsami.

Uczta trwała dalej. Wódki i nalewki mieszają biesiadnicy z winem, zakąski znikają z półmisków. Na stole pojawił się indyk, przyniesiony przez zamorusaną Paraskę, w przekręconej na bakier jaskrawej chustce na głowie i kokieteryjnie wydekoltowanej przybrudzonej czerwonej bluzce.

Pani domu korzysta z chwili, wstaje od stołu pod pozorem, że musi zajrzeć do kuchni, a w rzeczywistości idzie do sypialni, która ma połączenie z kuchnią, by poprawić sobie fryzurę i podmalować usta i twarz. Reszta pań czyni to samo przy stole zręcznie i szybko.

Pan domu również wychodzi z pokoju, niby po nową butelkę wina, ale to tylko pretekst, gdyż kieruje się wprost do sypialni na poszukiwanie żony. Zastaje ją przy lustrze, zajętą podczernianiem brwi. Władczym ruchem dużej kosmatej łapy sięga jej za gors.

— Co ci ten dureń napisał, pokaż! — syczy.

Odpycha go z oburzeniem.

— Nie twoja rzecz!

— Moja! — I znów grube palce suną się do jej białych piersi.

— Odejdź — woła gniewnie jak rozdrażniona kotka.

— Dawaj — mruczy groźnie brodacz i drugą ręką chwyta ją za kark.

Wyrywa mu się po krótkim szamotaniu i pchnąwszy okno wyskakuje na ogród. On za nią, choć nie tak zwinnie. Zasapany łapie ją za ramię, przewraca na murawę. Ona się broni, kopie go, drapie po twarzy, gryzie w ręce. Mimo to karteczkę trzyma w ręku.

Ostatnim rozpacznym ruchem wyrywa mu ją i nim się spostrzegł karteczka jest już w jej ustach zmięta, zaśliniona.

Chwyta ją za szczękę, probuje roztworzyć zaciśnięte zęby, ale skrawek papieru już połknięty.

— Brutalu jeden — krzyczy wściekła, wymierzając mu silny i głośny policzek.

Pan Masłow przytomnieje po tym uderzeniu i puszcza żonę.

Goście, czekając na gospodarzy, najspokojniej zajadają smacznego, dobrze utuczonego i upieczonego indyka, zakrapiając go obficie winem, które w zastępstwie gospodarza nalewa gościom sędzia.

Zjawia się pan domu podrapany, w zmiętym kołnierzyku i krawacie, ale uspokojony już zupełnie, dobroduszny i w dobrym humorze...

— Jedzcie — zachęca gościnnie i dodaje dobrodusznie — nie czekajcie na żonę. Zakaprysiła, jak to zwykle kobieta, przyjdzie później.

Pani domu zjawia się dopiero przy herbacie w nowej sukni, umalowana, cokolwiek za czerwona, ale minę ma triumfującą.

Poufale nachyla się ku panu Horegladowi, kładąc mu kawałek tortu na talerzyk.

— Jutro o jedenastej — mówi prawie głośno.

— — — — — — — —

Po kolacji amatorowie bridża wynieśli się do sypialni, a w salonie odsunięto meble, zdjęto dywan. Pani domu nastawiła gramofon i kilka par puściło się w tany. Nie tańczyła tylko Natalka i pani sędzina. Pan Horeglad tańczył tylko z panią domu. Szeptali sobie coś na ucho, przyciskali się do siebie lubieżnie. Odbijał mu ją od czasu do czasu weterynarz lub pan Wermiński, który niedwuznacznie okazywał jej swą sympatię ku zmartwieniu pani Luli. Juliusz tańczył stale z żoną naczelnika poczty, wesołą, zabawną kobiecinką, bojącą się swego męża i wykorzystowywującą każdą okazję do zabawy; od czasu do czasu podsuwał się do pani Zeni, która wirowała coraz to z innym tancerzem. Kasjer banku obtańcowywał sumiennie panią Karen, jako że była żoną kolegi.

— Co ja tu robię — pytała siebie Natalka z niesmakiem przyglądając się wyczynom tanecznym podpitych tancerzy.

Koło drugiej wniesiono herbatę i czarną kawę. Urwały się tańce i bridż. Zmęczone, zgrzane towarzystwo z przyjemnością piło mocne aromatyczne napoje, przyrządzone umiejętnie przez panią domu.

Juliusz usiadł koło żony.

— Pójdziemy niedługo — zaproponował.

Skinęła leciutko głową na znak zgody. Wyszli pierwsi, dając hasło do rozejścia się.

— Ubawiłem się jak nigdy — oświadczył Juliusz, wychodząc na ulicę.

— Widziałam to — potwierdziła z urazą w głosie.

— Nie ślubowałem ascetyzmu, ni wstrzemięźliwości — odmruknął.

Przeszła dalej. Kolumna strzaskana, a na niej krótki napis: „Jureczek Maślankiewicz, lat 8, zmarł śmiercią tragiczną, pozostawiając rodziców w żalu nieutulonym.

Trochę dalej ubogi, zapomniany grób z tabliczką: „Józefa Taterko, nauczycielka, lat 18, zmarła tragiczną śmiercią..."

Dwie mogiły, noszące jedną datę i jednobrzmiącą wzmiankę „tragiczną".

...Była nauczycielką ośmioletniego syna bogatych właścicieli ziemskich. Przez pomyłkę podała dziecku truciznę zamiast lekarstwa. Dziecko skonało w okropnych męczarniach. Widząc te męki bezbronnego dziecka, spowodowane jej nieuwagą, dziewczyna w przystępie rozpaczy napiła się tej samej trucizny. Umarła w dwie godziny po nim.

wysoka postać i szła ku niej. Serce przestało jej bić z wrażenia. Oparła się o drzewo, żeby nie upaść.

— Chodźmy, późno już...

Poznała głos Juliusza. Wdzięczność zalała jej serce ciepłym uczuciem serdeczności.

— Byłeś na cmentarzu?

— Tak, przyszedłem po ciebie, od godziny czekałem.

— Dziękuję — szepnęła.

Wziął ją pod rękę i prowadził troskliwie przez ciemne, puste uliczki wiodące z cmentarza do miasta.

* * *

W połowie grudnia otrzymała list od matki. Pisała, że jedzie na parę tygodni do

Westchnęła leciutko, by tego nie dosłyszał.

* * *

W dzień Wszystkich Świętych Natalka poszła na nieszpory, a stamtąd na cmentarz. Nie miała na tym cmentarzu nikogo z bliskich lub znajomych, ale pełna skupienia chodziła wśród grobów, odczytując napisy na krzyżach, nagrobkach, tablicach: tu leżał czyjś ojciec, tam matka, siostra, brat, syn, córka...

Niektóre groby były starannie pielęgnowane, inne opuszczone, zaniedbane, zapomniane, a przecież i u nich, co leżeli teraz w takim opuszczeniu głęboko w ziemi biło kiedyś serce żywe, gorące, kochające, może zapoznane przez całe życie, nieśmiałe, odepchnięte krwawiło się z bólu, a umarłe, zostało od razu zapomniane.

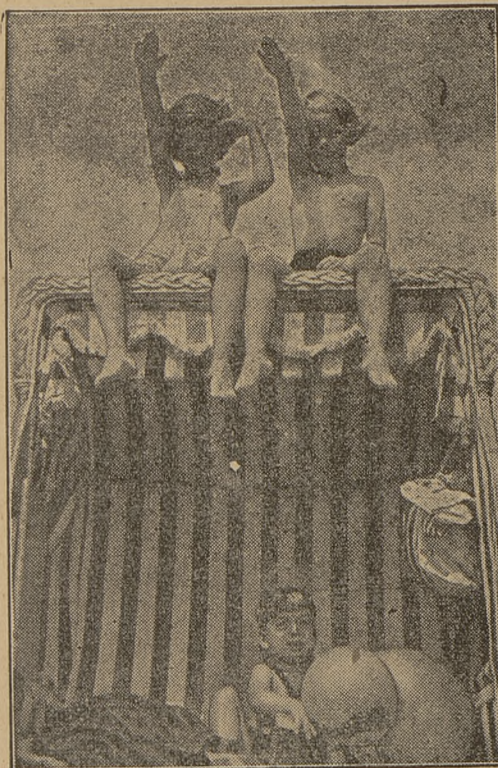
Łzy nabiegły Natalce do oczu przy tych myślach.

— A twój grób, tatusiu, czy „ona" przystroiła?.... lepiej żeby tego nie zrobiła, żeby ręce dobrowolnej wspólniczki i współuczestniczki twej śmierci nie dotykały ziemi, pod którą leżysz, nie naigrywały się z komedii pamięci i żalu.

Łzy zalały jej twarz, by je ukryć nachyliła się nad pomnikiem, przedstawiającym naturalnej wielkości dziewczynkę z psem. — „Lulu czysta i jasna odeszłaś od matki, zabierając ze sobą jej serce do grobu".

Przypomniała sobie, czyj to był grób. Opowiadała jej pani Karen o pewnej obywatelce, która straciła dwunastoletnią jedynaczkę na suchoty.

Noc już zapadła głęboka, gdy Natalka wychodziła z cmentarza, jedna z ostatnich. Jeszcze gdzieniegdzie tułały się grupki ludzi, snuły się w bolesnej zadumie samotne, ciche cienie żałobników, same do duchów podobne. W bramie ogarnęła ją ciemność, pustka i cisza. Wzdrygnęła się i bezradnie obejrzała dokoła. Od bramy oderwała się



Na wzór ludzi dorosłych, dzieci na plaży witają podniesieniem ręki zbliżającego się fotoreportera.

Warszawy i że na ten czas chce bliźniaczki zostawić u niej. Ucieszyła się, ale po chwili przyszły refleksje: — Co powie Juliusz?

Z wypiekami na twarzy czekała jego przyjścia na obiad; z bardzo niepewną i nieśmiałą miną powiedziała mu o tym, i spytała czy nie będzie miał nic przeciw pobytowi dziewczynek u nich.

Podniósł brwi zdziwiony.

— Dlaczego miałyby mu zawadzać. Owszem będę rad widzieć je w swoim domu.

Omal nie pocałowała go na podziękowanie. Wyciągnęła ramiona, ale opuściła je zawstydzona. On spostrzegł jej ruch i zaczerwienił się sam z wrażenia, lecz nie powiedział nic, nie chcąc jej mieszać i zawstydzać jeszcze bardziej.

— — — — — — —

Witali je na dworcu oboje. Natalka wybierając się na spotkanie matki, nie spodziewała się, że Juliusz będzie jej towarzyszył. Ujrzawszy go w palcie, czekającego na nią w przedpokoju, zdziwiła się i to zdziwienie ujawniło się tak widocznie w jej oczach, że rzucił trochę ostro:

— Jesteśmy małżeństwem, muszę zachowywać pozory poprawności.

Przywitanie z matką odbyło się chłodno, ale z pozorami serdeczności. Natalka pocałowała matkę w policzek ledwie dotknąwszy go ustami. Juliusz pocałował ją w rękę. Zato bliźniaczki z głośnym piskiem radości rzuciły się Natalce na szyję po kolei, poufale powitały Juliusza, podsuwając mu swe różowe buziaki do pocałunku. Były śliczne, miłe i pieszczotliwe w przeciwieństwie do chłodnego usposobienia swej starszej siostry. Uwiesiwszy mu się

u ramion, szły z nim ku wyjściu, szczebiocąc, że się bardzo cieszą, iż tu przyjechały.

Natalka szła z matką, obserwując ją w ponurym milczeniu. — Odmłodniała, naprawdę odmłodniała — myślała, odpowiadając machinalnie na jej pytania. Zauważyła z bólem serca biały kołnierzyk, wyglądający z futrzanego kołnierza palta i kokieteryjne upięcie welonu. — Zawsze ta sama — myślała z niechęcią.

— — — — — — — —

Niedługo bawiła matka u nich. Wszystkiego dwa dni. Spieszyła do Warszawy, gdzie miała jakieś terminowe sprawy do załatwienia.

Była z nimi na kolacji u Michalewicza, namówiła ich na kino, dopominała się partii bridża.

— Mama gra w bridża? — zdziwiła się Natalka.

— Nauczyłam się. U doktorów grają co drugi dzień. Nie miałam nic innego do roboty, jeżeli chciałam bywać u nich.

Urządzili więc bridża. Pan Wermiński, pani Marysia, Juliusz i ona. Była w swoim żywiole. Rozmawiała, licytowała błędnie, ale za to robiła urocze minki, rozbrajająco poklepywała po rękach swoich partnerów, że nie mieli serca gderać na nią, okazać swe niezadowolenie.

Na stację odwiózł ją sam Juliusz, na jej wyraźne żądanie. Chciała go pytać o coś, coś przypomnąć, jakieś słowa drżały jej na wargach, ale zabrakło jej odwagi, gdy spojrzała w jego chmurne oczy. Dopiero, gdy całował ją w rękę na pożegnanie, stojąc na stopniach wagonu, powiedziała cicho:

— Kochałam cię bardzo, Juliuszu.

Spochmurniał jeszcze więcej i przez twarz przeszła mu ciemna łuna rumieńca, a brwi zbiegły się między oczami.

— A ja, nie... — powiedział dobitnie, zeskakując ze stopnia, gdy pociąg ruszył. Odszedł, nie oglądając się za siebie na oddalający się pociąg.

Powiedział jej prawdę. Nie kochał jej nigdy, bawił się jedynie i za tę zabawę zapłacił tak drogo!

— — — — — — — —

Bliźniaczki czuły się u siostry doskonale. Dogadzała im Natalka, psuł Juliusz, pozwalając na wszystko. Domek napełnił się gwarem i śmiechami.

Ranki spędzały na spacerze i w ogródku, po południu przychodziły do nich dzieci pani Marysi, lub one chodziły do nich.

Zaprzyjaźniły się ze szwagrem. Na wyścigi biegły otwierać mu drzwi, rzucały mu się na szyję, podsuwały policzki do pocałowania.

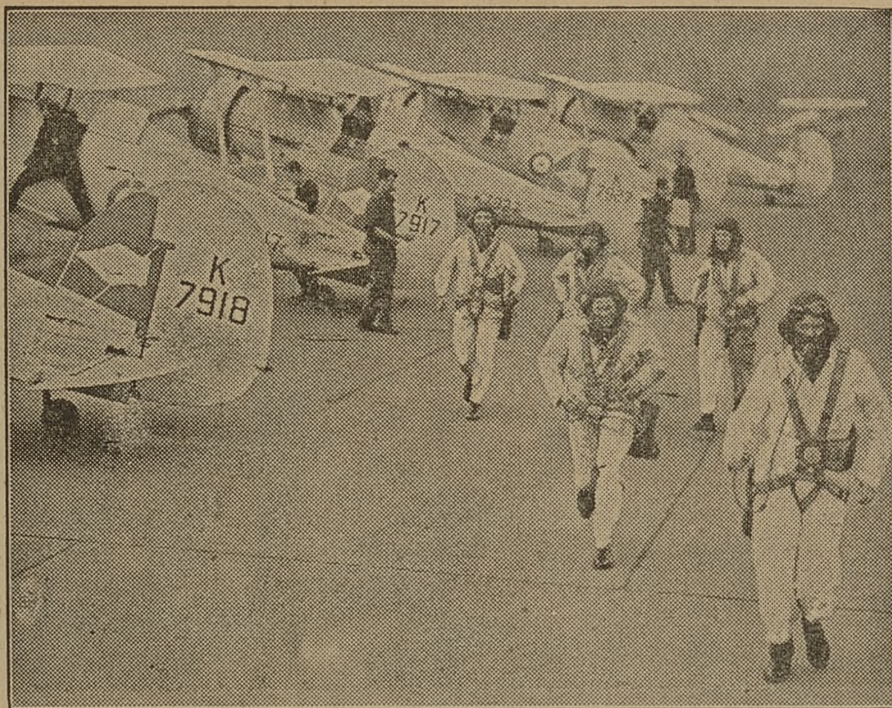
Natalkę drażniły te objawy czułości ze strony dziewczynek. Usuwała je od niego jak mogła, ale czy można ustrzec żywe jak skry stworzonka, czy można je odgrodzić od pana domu, w którym przebywały.

Pewnego dnia Józia wdrapała się na kolana Juliuszowi i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Ty jesteś najmilszy, najładniejszy ze wszystkich! — szeptała mu do ucha.

Juliusz przytulił ją do siebie i gładził po włosach.

Na chwilę tę weszła Natalka, która przyrządzała sałatę w kuchni. Ujrzawszy Józię w objęciach męża zbladła.



Alarm lotniczy! Piloci biegną szybko do swych maszyn, by wyruszyć do walki w powietrzu.

— Zejdź w tej chwili — krzyknęła na dziewczynkę.

Józia nie ruszyła się z miejsca.

— Kiedy ja go kocham — oświadczyła.

— Zejdź mi zaraz — powtórzyła rozkaz i wziąwszy dziecko za rękę, ściągnęła ją z kolan męża.

Dziewczynka nadęła się i bliska płaczu odeszła w drugi kąt pokoju, gdzie na dywanie siedziała jej siostra i szeroko otwartymi ze zdumienia oczami przypatrywała się tej scenie.

Natalka drżąc na całym ciele, szeptała głosem zduszonym oburzeniem:

— Nie waż się ich dotykać. Czy nie masz już ani trochę sumienia i uczuć ludzkich, czy one ci nic nie wyrzucają?

Trzęsła się cała i oczy jej rzucały takie ognie oburzenia, że aż cofnął się w tył, przerażony tym ogromem gniewu. Zbladł, chciał coś powiedzieć, ale zgniótł w sobie tę chęć. Wzruszył tylko ramionami.

— Jeżeli ci tak bardzo chodzi o to, mogę się trzymać z dala od nich.

Odwrócił się i wyszedł, a Natalka, upadłszy na krzesełko i wybuchnęła spazmatycznym łkaniem. Bliźniaczki, przerażone płaczem starszej siostry, przytuliły się do siebie, same łez bliskie.

Natalka po dobrej minucie opanowała swe wzburzenie, osuszyła oczy, wytarła nos i na pozór spokojna odezwała się do dziewczynek:

— Ubierzcie się, pójdziemy na spacer.

— — — — — — — —

Juliusz od tego dnia unikał zetknięcia się z bliźniaczkami. Ułatwiał mu to postanowienie fakt, że i dziewczynki przerażone wybuchem siostry same od tego dnia trzymały się od niego z dala. Spędzał wieczory w klubie, grając wysoko w bridża, nie przychodząc bardzo często nawet na kolacje.

* *

*

Czas nietylko uchodził, ale biegł z niedościgniona szybkością. Nadchodziły święta.

Dwudziestego drugiego grudnia po obiedzie nie poszedł do kancelarii ani do klubu. Zaraz po obiedzie zwrócił się do dziewczynek, nie patrząc na Natalkę:

— Maniusiu i Józiu, ubierajcie się, pójdziemy do miasta po sprawunki.

Dziewczynki błagalnie spojrzały na siostrę.

Natalka kiwnęła głową przyzwalająco. Czuła się zawstydzona, upokorzona swoim uprzednim wybuchem i brakiem opanowania. Jedno jedyne miała na swoje usprawiedliwienie, że rana, zadana jej prawie rok temu, krwawiła ciągle niezagojona.

W podskokach, ze śmiechem dziecinnego zadowolenia pobiegły dziewczynki do przedpokoju. Poszła za nimi i pomogła im nałożyć śniegowce i rękawiczki. Juliusz, oparty o drzwi, przyglądał jej się z posępną, namarszczoną twarzą.

Śmiejąc się i podskakując, zeskakując ze schodków z pominięciem stopni, biegły obok niego rozradowane.

Natalka zostawszy samą, podeszła do fortepianu i wzięła parę akordów. Przecudne dźwięki „Andanta" Beethovena rozległy się po cichym mieszkaniu. Ktoś zadzwonił, komuś otworzono drzwi, ktoś wszedł do saloniku, a Natalka nie słyszała, nie zauważyła tego. Była tak daleka duszą i myślą od Wjunogrodu.

Skończyła i opuściła na kolana zmęczone palce.

— Ależ z pani artystka — rozległ się obok niej głos pani Karen.

Drgnęła gwałtownie, przywołana do rzeczywistości.

— Kocham muzykę — odparła z prostotą, wstając na powitanie gościa. Miałam zamiar zapisać się do konserwatorium po ukończeniu pensji.

— To są zwykłe marzenia młodziutkiej panny — roześmiała się pani Karen — które najczęściej kończą się ślubem i dziećmi.

Natalka westchnęła.

— Może pani ma rację.

Zapaliła światło i podsunęła papierosy gościowi, który kręcił się nerwowo na fotelu. Nie wytrzymała, przecież z tą właśnie nowiną tu przybiegła.

— Czy pani słyszała już najnowszą sensację dnia — zagadnęła.



Nowe angielskie miotacze płomieni wytwarzają taką gorączkę, że obsługujący je żołnierze pracują w ubraniach azbestowych.

Natalka zaprzeczyła.

Pani Karen poprawiła się na siedzeniu, oczy jej błyszczały ożywieniem:

— Pan Kauzik przyłapał żonę w swoim własnym mieszkaniu z Horegladem. Miał jechać do Brześcia w sprawach służbowych, tymczasem na następnej stacji dowiedział się, że urzędnik, do którego jechał, wysłany został na 5 dni do Warszawy. Wrócił do domu następnym pociągiem i zastał ich w pozie dosyć ryzykownej. Podobno piękny Pierocik ratował się ucieczką przez okno, po drodze dostał stołkiem po głowie od rozwścieczonego męża, złośliwi mówią, że to nie był stołek, a inne dość intymne naczynie... hi!hi!hi!... śmiała się ze swego dowcipu. — Żonę podobno zbił na kwaśne jabłko, o mało jej ręki nie złamał, gdy się wyrywała. Horeglad wyjechał w niewiadomym kierunku, bo bał się, że Kauzik mu sekundantów pośle,a ona leży w szpitalu.

Brr... jakie to wstrętne... obrzydliwe — myślała Natalka. — Czyż każda kobieta jest tak bezwolna, bezwstydna, żeby nie móc się oprzeć mężczyźnie, żeby na każde jego kiwnięcie oddawać mu się, jak ulicznica? Czy ja będę kiedyś taką? — Zatrzęsła się na to przypuszczenie. — Nie, nigdy!

— To jest jednakże wstrętne u tych pań, robienie z siebie biernego narzędzia, zabawki — zauważyła.

— Dlaczego okropne — oburzyła się pani Karem. — Kobieta jest jak kwiat, ma wartość dopóki nęci oczy, wywołuje pragnienie powąchania go, zerwania, dopóki daje rozkosz zapachu, dotyku, napawania się pięknością. O ile tego nie spełni, staje się bezwartościową, nieużytecznym chwastem, nikomu niepotrzebnym. Piękność, a nawet tylko przeciętna uroda i harmonia w naturze jest dana dla ozdoby, okrasy.

— Więc pani nie uznaje duszy w kobiecie, jej godności i honoru, a każe jej być tylko rozkoszą dla oczu męskich! — gorączkowała się Natalka.

— Dusza potrzebna jest brzydkim kobietom i takim, które okwitły i straciły możność przyciągania mężczyzn. Taka niech czaruje duszą, kokietuje nią w imię jej istnienia, ale co po duszy młodej i ładnej kobiecie. Jej trzeba szminki, strojów, jedwabi. Kto ją pyta o duszę, kto się jej doszukuje — dowodziła cynicznie. — Gdyby przed panią stanęła wróżka i zaproponowała przepiękną duszę, ale w powłoce z garbu, zeza i krótszej nogi, lub brzydką, bezwartościową w postaci pięknej, choć bezdusznej urody ciała — co by pani wybrała.

Natalka zastanowiła się, pomyślała chwilkę i roześmiawszy się wyznała szczerze, naturalnie wybrałabym urodę, ale to nie znaczy, że miałabym przez to stać się bezwartościową zabawką w rękach mężczyzn.

Pani Karen triumfowała.

— Et, proszę pani, teoria teorią, praktyka praktyką, a życie życiem. Łatwo pani tak mówić, bo jest młodą i ładną i gdy każdy prawie mężczyzna obejrzy się za panią i pomyśli z uznaniem: — „Co za ładna kobietka". — Ale gdy nikt nie spojrzy, gdy niczyje oczy nie powiedzą kobiecie, że jest ładną i godną uwagi, nie złożą hołdu jej urokowi, wtedy wszystkie zasady i kanony idą w kąt zapomnienia i w sercu pozostaje gorycz, bezsilny żal do losu, że stwarza brzydotę i sprowadza starzenie się, takie nikomu niepotrzebne.

— Można wtedy stworzyć sobie cel, poświęcić się nauce, sztukom pięknym i literaturze — wtrąciła nieśmiało Natalka.

Pani Karen machnęła lekceważąco ręką.

— Wszystko to już było na świecie. Nie wiem czy pani zna historię słynnej matematyczki, uczonej rosyjskiej, która wykładała matematykę na uniwersytecie szwedzkim, Zofii Kowalewskiej. Była uczoną i sławną, a otruła się, bo nikt nie chciał widzieć w niej kobiety. Umarła z tęsknoty za miłością.

— Zgadzam się z panią, to wszystko jednak nie upoważnia do uprawiania lekkomyślnych flirtów i romansów.

— Taka jest krucha i nikła bariera, oddzielająca miłość od miłostek, zdradę od wierności.... Ale ja zapomniałam zupełnie o celu swej wizyty. Przyszłam prosić państwa do siebie na 8-go stycznia na bridża.

— Dziękujemy, przyjdziemy o ile nie wypadnie nic nagłego Juliuszowi.

Pani Karen posiedziała jeszcze chwilkę, powiedziała parę innych ploteczek z życia obywateli Wjunogrodu, napiła się herbaty i wyszła, ociągając się, nadsłuchując, czy Juliusz nie idzie.

Co w tej rybie widział Juliusz — myślała ze szczerym, lekceważącym zdziwieniem, idąc ulicą — za grosz w niej życia, ni temperamentu. Skąd on wykopał tę przedpotopową świętoszkę, tę wiejską gęś?

Natalka po jej wyjściu zaniepokoiła się szczerze długą nieobecnością dziewczynek. Spojrzała na zegar — Już siódma, gdzie oni mogą być?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie rozległ się tupot ruchliwych nóżek na ganku i energiczny dźwięk dzwonka. Weszły roześmiane, rozradowane, objuczone paczkami.

Były w cukierni na czekoladzie i przyniosły Natalce do domu ciastek i cukierków. Kolacji nie chciały jeść, bo wypiły czekolady w cukierni po dwie szklanki.

Nazajutrz raniutko o czwartej Juliusz wyjeżdżał na święta do rodziców. Służąca podała mu gorącą herbatę i bułki do gabinetu. Kiedy ubierał się w futro, skrzypnęły drzwi. Józia w koszulce nocnej wsunęła się do przedpokoju.

— Nikt mnie nie budził. Wstałam, by się z tobą pożegnać.

Wspięła się na paluszki, objęła go za szyję i pocałowała mocno w policzek.

— Tatuś mi nie pozwala, ale ja cię bardzo kocham.

Wzruszony ucałował ją w obydwa policzki.

— A teraz uciekaj maleńka, bo zimno.

Rzuciła mu jeszcze pocałunek od drzwi i zniknęła tak cicho, jak weszła.

Gdy siedziały przy kolacji wigilijnej, posłaniec przyniósł 3 paczki od Juliusza.

Natalka drżącą ręką położyła je pod choinkę, gdzie leżały rozłożone zabawki. Dziewczynki ledwie doczekały się końca posiłku, w oczekiwaniu na otwarcie drzwi od salonu. Nareszcie! Dygocące z podniecenia nóżki poderwały się do biegu. Patrzyły na choinkę jak urzeczone, zapomniawszy o prezentach, bo tak ślicznie lśniły szklane ozdoby i paciorki na drzewku.

A kiedy zobaczyły, co im gwiazdka przyniosła, radości nie było końca. Zdarły niecierpliwie papier z paczek, przysłanych przez Juliusza i z gardełek wyrwał im się dziki okrzyk zachwytu, gdy z pudełek wyjrzały dwie duże lalki, które zamykały modre oczęta, okolone prawdziwymi rzęsami.

Natalka wolno i niechętnie odpakowywała swoją paczkę. Ona nie spodziewała się i nie chciała od niego żadnego prezentu i zmarszczka niezadowolenia przecięła jej czoło, gdy z papieru wyłuskała safianowe pudełeczko, a w nim flakon drogich paryskich perfum „Narcisse noir".

— I po co to?

— — — — — — — — —

Święta te pomimo żałoby były dla niej niesłychanie miłe. Nieobecność Juliusza usunęła nieznośny przymus, który jej tak ciążył. Była znów sobą, młodą dziewczyną z leśniczówki, dawną Natalką. Wróciła jej swoboda i humor, odbiegło koszmarne wspomnienie. Akompaniowała dziewczynkom do kolend, bawiła się z nimi lalkami, jak wówczas gdy ojciec żył.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

ROBERT GOFFIN

KAROLINA
CESARZOWA MEKSYKU

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA IRENA MACIEJEWSKA

Szlachetność i miłosierdzie zgubią parę monarszą. W historii panujących rodów mało było przykładów takiej wielkości i dostojeństwa. Mylnie będzie się twierdzić po ich upadku, iż Maksymilian i Karolina upadli dlatego, że byli propagatorami nowych idei, których zastosowanie późniejsze ocali wiele tronów królewskich. To byli suwereni, myślący więcej o szczęściu swych poddanych niż o sobie. Dość już potentatów w koronach, niech pamięć o nich zaginie!

W roku 1861 Juarez zarządził sprzedaż dóbr kościelnych. Wszyscy biskupi i inne władze kościelne, więcej przywiązani do interesów tego świata niż nieba, oczekiwali z upragnieniem zwrotu utraconych bogactw. Księża meksykańscy pędzili żywot wśród niezliczonych skarbów, dla których zapominali o swym powołaniu duchowym i poświęcali się z zamiłowaniem ziemskim radościom w ogóle, a miłości kobiet w szczególności. Biskupi, sami do głębi zepsuci, tolerowali u swych podwładnych rodzaj haremów, w których księża i wikariusze żyli wśród swych kochanek i dzieci. To właśnie skłoniło Karolinę do wypowiedzenia zdania, iż religia katolicka musiała być bardzo potężna, by przetrwać wśród podobnych brudów.

Na początku 1865 roku powstały pierwsze nieporozumienia na tle religijnym. Papież Pius IX wysłał do Meksyku niezręcznego i bezwzględnego delegata, mgr. Meglia, który zajął od razu nieprzejednane stanowisko. Maksymilian i Karolina poszli na wszystkie ustępstwa, by uzyskać odpowiedni konkordat. Proponowali wolność wyznania i uznania wiary katolickiej za religię panującą; wysuwali projekt bardzo korzystnej ugody dla odzyskania dóbr kościelnych. Mgr. Meglia dumnie odmówił, podczas gdy papież uznał mniej odpowiednie konkordaty w Belgii, Francji i Portugalii; tu w Meksyku żądało się wszystkiego, albo niczego. Absolutna wszechwładza Rzymu w Cesarstwie Meksykańskim! Naród katolicki i rząd katolicki są obowiązani do bezwzględnego posłuszeństwa względem papieża Piusa IX!

Zrozpaczona Karolina usiłowała nadaremnie przekonać mgr. Meglia, iż obopólne interesy łączą się w proponowanym konkordacie; nie mogła nic uzyskać. W listach swych pisała wówczas: „Zdaje mi się, że głos serca zamilkł tu zupełnie, pozostała tylko rutyna, bez krzty uczucia; trudno mi odnaleźć u przedstawicieli religii śladów samozaparcia Filipa II lub miłosierdzia św. Wincentego à Paulo... Moim zdaniem, cesarz dał wymowny dowód swych uczuć, proklamując otwarcie religię katolicką jako powszechnie wyznawaną i otoczoną opieką państwa. Jest to pierwsze w IX wieku tego rodzaju ustępstwo ze strony panującego o liberalnych poglądach i mam nadzieję, że to posunięcie sprowadzi wreszcie europejską opinię na właściwe tory"....

Co do nuncjusza Meglia, Karolina marzyła jedynie o tym, by się go pozbyć. „Przecież — pisała dalej — to ciasnota umysłu, zaślepienie, bezprzykładny upór; jakże można przypuszczać, aby kraj całkowicie przesiąknięty nienawiścią do teokracji, mógł domagać się zwrotu dóbr kościelnych. To tak jakby w słoneczne południe powiedziano, iż jest noc; lecz niestety. Rzym ma takie pojęcia, co, przyznaję, jest upokarzające dla nas katolików".

Od tej chwili następuje zerwanie między Rzymem a Maksymilianem. Upierając się przy interesach kościoła, papież zgubi cesarza i trzeba będzie czekać aż do 1925 roku, by zdać sobie sprawę z niewiarogodnych błędów papiestwa, które przez swą bezwzględność, wygnało Maksymiliana i spowodowało wszystkie nieszczęścia, jakich będzie potem gorzko żałować, starając się zapomnieć o tym, iż ponosi za nie bezsprzecznie całkowitą odpowiedzialność.

Sytuacja z każdym dniem stawała się groźniejsza, zdawało by się, iż przybycie mgr. Meglia rzuciło zły urok na Meksyk. Kler meksykański odwrócił się zdradziecko od Maksymiliana i zorganizował insurekcję, w której wzięli udział wielcy obszarnicy.

W czasie dłuższej nieobecności Maksymiliana, cesarzowa sprawiająca regencyjne rządy, zajęła się kwestią indyjską. W interesie kleru i bogatych obcokrajowców, uciemiężona ludność była stale utrzymywana w ciemnocie i nędzy, stało się to warunkiem „sine qua non" nieprawdopodobnej potęgi księży i możnowładców. Karolina nie chciała być cesarzową jedynie dwóch uprzywilejowanych, a niegodnych warstw społeczeństwa, i postanowiła ulżyć doli tego nieszczęśliwego stada indyjskiego, którego cierpienia były podwaliną dobrobytu gromady nędzników.

Nieludzkie traktowanie niewolników indyjskich w haciendach Meksyku było ogólnie znane. Ku hańbie tych, którzy się do tego przyczynili, należy dorzucić jeszcze kilka słów prawdy. Hrabina Reinach Foussemagne przytacza obserwacje pewnego inżyniera francuskiego, nazwiskiem Burnouf:

„Widziałem ludzi siekanych rózgami do krwi, dosłownie kładłem palec w głębokie rany; karmiłem rodziny umierające z głodu, pędzone do pracy batem zarządcy; widziałem ludzi, umierających z wycieńczenia, którzy, okuci w kajdany, pełzali ku miejscom zalanym słońcem, by zakończyć życie pod oknem Boga, a po śmierci wrzucało się ich do dołu jak zdechłe psy! Właściciele haciend spekulowali na żywności i łachmanach tych nieszczęśników. Zmuszali ich do kupowania u nich pożywienia po cenie wyższej od rynkowej; jak również po lichwiarskich cenach sprzedawali im nędzne materiały. W ten sposób Indianin dostawał zaledwie jeden real (0,65 fr.) za czternaście godzin pracy. Musiał więc popadać w długi u swego chlebodawcy, z którym współdziałali księża, nakazując sobie płacić niesłychane ceny za różne świadczenia religijne i eksploatując w najwyższym stopniu przesądną łatwowierność Indian".

We wrześniu 1865 r. Karolina oznajmia tryumfalnie, będącemu wówczas w podróży cesarzowi: „...wszystkie moje projekty są przyjęte. Reforma, dotycząca Indian, wywołała w pierwszej chwili niebywałe poruszenie, lecz w końcu została zatwierdzona z entuzjazmem. Pewna już powodzenia rozwinęłam socjalne teorie o ustawicznych rewolucjach w Meksyku, spowodowanych przez mniejszość, wykorzystującą bierność bezwładnych mas; o konieczności przyznania milionom ludzi praw człowieka dla usunięcia tej plagi, na którą niepodległość nie wywarła żadnego wpływu, bowiem właściwi obywatele kraju, Indianie, trwają nadal w straszliwym upodleniu".

Nowe prawodawstwo Karoliny, zapewniające niezależność uciemiężonym tubylcom, eksploatowanym przez feodalnych magnatów, było gorąco zwalczane przez konserwatystów i obszarników, ci zaś uzyskali poparcie księży.

Karolina dawała wciąż dowody niepowszedniej energii i przenikliwości, rządząc w zastępstwie swego małżonka, państwem. Niekiedy odrywały ją od spraw państwa reprezentacyjne obowiązki cesarzowej. Musiała wówczas przyjmować rewie i asystować przy uroczystych ceremoniach, przybrana w strój królewski, złożony z białej jedwabnej

sukni haftowanej złotem, długiego płaszcza z czerwonego aksamitu, wspaniałej kolii pereł i cesarskiego diademu, w którym połyskiwały drogocenne kamienie niebywałej piękności.

Ambitna? Wyniosła? Dumna? Karolina w dniu 29 września 1865 roku pisała tak do swej babki, królowej Amelii: „Mogę cię zapewnić, iż pomimo moich 25 lat, wszystkie te ceremonie nie sprawiają mi najmniejszej radości i, że... jestem daleka od zachwytów nad sobą... Mówię ci o tym tylko dlatego, abyś mogła ocenić prawdziwość sądów, rozprzestrzenianych o mnie w Rzymie, i gdzieindziej zresztą również, gdzie uważają mnie za pewnego rodzaju herod-babę, a przecież jestem zupełnie taką samą, jaką mnie znałaś, tylko mniej upartą i mniej myślącą o sobie, gdyż przekonałam się, że próżność, egoizm i ambicja do niczego nie prowadzą".

Przez ten czas marszałek Bazaine zapomniał całkowicie o pacyfikacji Meksyku, oddając się z lepszym rezultatem pacyfikacji czarującej 17-letniej Meksykanki, Marii Józefy de la Pena y Barragon, którą poślubił w cesarskim pałacu w Meksyku w czerwcu 1865 roku.

Opętany demonem namiętności, marszałek przekładał „habanerę" ponad wojenne ekspedycje. Istnieje nawet podejrzenie, iż Bazaine, nadęty pyszałkowatą dumą, knuł spisek przeciw Maksymilianowi, by zostać wicekrólem Meksyku pod protektoratem francuskim.

Operacje wojskowe nie szły po myśli cesarza. Bandy Juareza posuwały się aż w okolice stolicy. Michoacan i Guadalajara były niepokojone przez powstańców. Oddziały wojska rządowego musiały się cofnąć z Oajaci do Tetuakanu.

Listy Karoliny do cesarzowej Eugenii wyjaśniały te niepowodzenia, rzucając właściwe światło na postępowanie generała Bazaine niestosującego się do zarządzeń cesarza oraz zawierały częstokroć słuszne przewidywania co do dalszego biegu wypadków.

W lipcu 1866 roku czara jest już przepełniona, co zmusza Maksymiliana do wysłania następującego listu do Napoleona III:

„Nie skarżę się na Francuzów, którym Meksyk ma dużo do zawdzięczenia, skarżę się jedynie na kilku Francuzów, co źle służą swemu cesarzowi i honorowi swego sztandaru. Mam na myśli tych wysokich dygnitarzy, którzy tracą niepotrzebnie pieniądze i krew Meksyku, którzy knują tysiące intryg, by utrudnić formowanie armii narodowej, którzy cofają wojska bez najwyższego zezwolenia i wbrew wszelkim zasadom, którzy upoważniają a nawet zachęcają do grabieży i łupiestwa, którzy z każdym dniem coraz bardziej demoralizują dzielną i okrytą chlubą armię... Mam na myśli tych wodzów, którzy pozostawiają mnie w całkowitej nieświadomości o posunięciach wojska, którzy opowiadają mi o zwycięstwach, podczas gdy w rzeczywistości ponoszą klęski, którzy bez potrzeby gubią całe pułki mężnych żołnierzy, którzy doprowadzili moje państwo do sytuacji stokroć gorszej niż w ubiegłym roku, którzy pozwalając Juarezowi werbować nową armię i kpić sobie z marszałka Francji i jego żołnierzy... Dla uratowania przyszłości udaję, że nie widzę tego wszystkiego, ale nikt nie zdoła mnie oszukać i pamięć moja, na szczęście zbyt dobra, przypomina mi wszystkie kłamstwa i wszystkie obietnice, którymi łudzi się mnie już od czternastu miesięcy"...

Maksymilian i Karolina zbliżają się do nieuchronnej klęski. Zadaniem ich, jako suwerenów Meksyku, była walka z Juarezem i jego oddziałami, ci jednak, którzy obowiązani byli im w tym dopomagać haniebnie ich zdradzili: kler, obszarnicy, magnaci i Bazaine robią wszystko co w ich mocy, by utrudnić poczynania cesarza; monarchowie europejscy wykazują skandaliczny egoizm.

Gdzież są stare zasady solidarności dynastycznej, na których opierali się zawsze wszyscy panujący. Napoleon III, przeczuwając, iż sprawa meksykańska nie przyniesie mu obliczanych korzyści, zapomina o formalnie podpisanych zobowiązaniach. Ministrowie francuscy mają już dość tej historii z Meksykiem, naród się burzy, Wiktor Hugo pisze płomienną proklamację, którą Juarez każe niezwłocznie przetłumaczyć i rozplakatować w całym Meksyku.

Maksymilian i Karolina pozostali osamotnieni. Biegną teraz często myślami ku samotności na wyspie Lacroma i żałują jej. Jakiż tam był spokój! Nic ich nie zmuszało do wchodzenia w styczność z podłą i złą ludzkością. Teraz jest już za późno, trzeba walczyć do końca. Trzeba się okazać na wysokości zadania. Para cesarska w głębi ducha czuje się bliższą Juareza, niż tej podłej zgrai pasożytów, niestety, Juarez nie rozumie Maksymiliana i będzie walczył dziko do samego końca.

Cóż znaczy w tych dniach walki, oporu, wysiłków i gniewu znikomość majestatu cesarskiego? Co mogą przynieść krótkie chwile oszołomienia wielkością, upojenia władzą? Wszystko tonie w beznadziejnej rozpaczy, w niechęci przeciw jakiej Karolina musi wkrótce walczyć sama, gdyż Maksymilian, wyczerpany do ostatka, szuka spokoju i zapomnienia w wiejskiej rezydencji w Cuernavaca. Spędza w bezczynności całe dnie, popijając znakomite reńskie wino z oczami utkwionymi w snującą się wśród egzotycznych drzew parku, młodą żonę ogrodnika o ciemnych, palących oczach, której płomienne pieszczoty przynoszą tyle ukojenia.

Nikogo już nie obchodzi mały Augustyn, ostatni potomek Iturbidów, adoptowany przez dwór cesarski, który miał dziedziczyć koronę meksykańską po Maksymilianie. Karolina rozmyśla z bólem o zbliżającym się zbyt szybkim zakończeniu tej oszałamiającej egzotycznej przygody i skupiwszy całą swą siłę woli Koburgów, próbuje jeszcze wszystko naprawić: ustanawia nowe prawa, udziela audiencji, dopomaga biednym Indianom, organizuje dobroczynne dzieła, daje wskazówki wojskowym dowódcom, podtrzymuje na duchu swego męża; a w głębi serca, ta 25-letnia cesarzowa, bezgranicznie kochająca swego męża, ustawicznie marzy o potomku, o prawdziwym dziedzicu Maksymiliana na tronie Meksyku, który, z dala od intryg i podłości Europy, stałby się wcieleniem wielkości Habsburgów, połączonej z siłą woli i inteligencją Koburgów.

X.

Poczucie wielkości lub niemocy znamionuje na przemian dalsze dni panowania. Zniechęcony cesarz, nie będąc w stanie powstrzymać nieokiełznanego pędu wydarzeń, usuwa się w cień. Nie usiłuje nawet kierować wypadkami, bezwolnie dając się ponosić fali zmiennych nastrojów, to pełen odwagi i nadziei, to smutny i bezsilny, marzący o swych arcyksiążęcych kuzynach, którzy są tacy szczęśliwi i spokojni w miłym Wiedniu.

Karolina zaś nie ustaje w pracy, kołysana bądź zadowoleniem z jej rezultatów, bądź szarpana rozpaczą z powodu bezowocnych wysiłków. Niedawno zaledwie powitała oddział ochotników belgijskich, którzy przybyli do Meksyku, śpiewając pieśni, przypominające jej dzieciństwo, a już powstał między nimi a Francuzami i Austriakami poważny konflikt o to, kto będzie dowodził Belgami. Ochotnicy są lekceważeni i zaniedbywani; uskarżają się, kilku chce odejść; dopiero cesarz budzi w nich iskierkę zapału i skłania do pozostania.

12 października 1865 r. sekretarz poselstwa belgijskiego, Hoorick, pisał z Morelii do swego pełnomocnego ministra o straszliwym opuszczeniu oddziałów belgijskich, podając wręcz nieprawdopodobne szczegóły, iż większość żołnierzy jest odziana w płaszcze ze słomy i spodnie z kory.

Ciąg dalszy na stronie 693.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

GDY CIERPIĘ...

Kiedy me serce szarpie się w udręce,
Ogromu bólu znieść już nie może —
Kieruję oczy swe ku Bożej Męce
I u stóp krzyża klękam w pokorze.

A wówczas dusza ma brzemienna bólem
I przygnębiona smutną dolą swą,
Wzdycha do Tego, co jest cierpień królem.
By ją pocieszył i ukoił ją.

Bo jeśli duszy mej nie uspokoi
Ten, co z miłości za nią życie dał —
Któż ją pocieszy, utuli, ukoi
I któż zrozumie jej ból i jej żal?...

Kazimierz Łaganowski.

DOBRE RADY PANI ZOFII

SYMPATYCY ZWOŁUJĄ SIĘ NA ZJAZD!

„Jaś - Sokół". Poniżej podaję Wam, Mili „Krainiacy", wyjątek z listu „Jasia-Sokoła", w którym ochoczo i buńczucznie zwołuje Was wszystkich, a gremialnie swoich starych współkorespondentów na zjazd do Żnina.

Tak sądzę, że jego zapał porwie tych jeszcze maruderów, którzy zwlekają z ostateczną decyzją. Oby tak było!

„Jasiowi" życzę dobrej drogi i cudownej pogody!

„Ogromnie się cieszę z tego zjazdu nas „Krainiaków" do Żnina! Będzie to, zdaje się, pierwszy tego rodzaju zjazd czytelników i „Krainiaków" — prawda? Dlatego też wszyscy, jak jeden, kto tylko może się wybrać, komu czas pozwoli, stańmy w szeregu i niech nikogo nie zabraknie! Serdecznie dziękuję za pozdrowienia, które odwzajemniam i bardzo proszę o umieszczenie moich komunikatów!

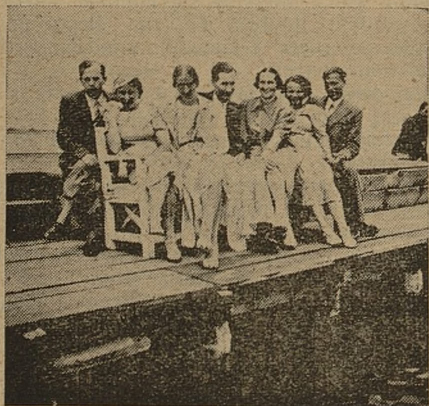
„Niezapominajko IV". Serdecznie dziękuję za pozdrowienia. Adres znany od Pani Piórk. Dlaczego zmieniła Pani pseudonim. Mój adres stary. —

„Samotny — Chorzów!". Czołem druhu, dziękuję serdecznie za pozdrowienia, wkrótce napiszę list.

„Skromny Fiołku" i „Wesoła Różyczko"! Pa, serwusik! znamy się — prawda? „Wesołą Różyczkę" widziałem w Rudniku. Może wybierzesz się na zjazd „Krainiaków" do Żnina? Proszę się dołączyć do mojego towarzystwa, jedzie nas kilkunastu na rowerach. Zasyłam uścisk rączek i wagony śmiechu, gdyż jest Pani bardzo wesoła! „Wróżko Alu" — zdrowia, szczęścia i wszelkiej pomyślności życzę we wróżbie!

„Li — Sokolico"! Czołem! tu okręg pomorski VI. W jakim gnieździe jest Druhna? Zobaczymy się na zlocie. Proszę podać bliższe szczegóły.

„Polna Różyczko" — zasyłam miłe pozdrowienie i wkrótce napiszę list".



Oto zdjęcie grupy sympatyzujących z nami letników, którzy urlop wypoczynkowy spędzili w uroczym Powidzu.

PISANE PODCZAS WIZYTY W REDAKCJI

„Heniek". „Zabieram się do napisania listu do „Moich Powieści" już od dość dawna, lecz niestety, jak zawsze kończy się to na dobrych chęciach! Lecz teraz, korzystając z pobytu mojego w Żninie, chcę podzielić się wrażeniami, jakie odniosłem z odwiedzin w redakcji „Moich Powieści".

Pani Zosia, to bardzo milutka osóbka (tylko proszę nie myśleć, że mam na końcu pióra same komplementy, które wyleję na papier). I choć mocno bywa zapracowana, zawsze znajdzie parę chwil dla odwiedzających „Moje Powieści". Pomimo zapracowania poświęciła i mnie parę chwil, nie chwil, ale sporo czasu na pogawędkę. Mówiła mi o wszystkim, co się dzieje w „Moich Powieściach".

Wrażenia, jakie wywożę ze Żnina są dla mnie, a raczej będą niezatarte!

„Maryla spod Wągrowca". Wiem kim jesteś Marylą W..... z Dam. Jesteś ciekawa, co zrobiłem z wygranym baranem na kiermaszu w Wągrowcu? Prosta rzecz, sprzedałem i nieźle na tym zarobiłem. Myślę, że tą wiadomością zaspokoiłem Twą ciekawość. Życzę dużo powodzenia w pracy!

„Samotna Oleńko"! Czy jeszcze, jak zawsze, tak samotna i niezadowolona z życia? Ukłony dla pani kapitanowej z dancingu w Poznaniu. Jak będę w październiku w J., to nie omieszkam Ciebie odwiedzić. Pa!

„Zofia z Gr." Dziękuję ślicznie za pozdrowienia! Może by Pani do mnie napisała?

„Przedwiośnie". Moja dobra, malutka Wróżko, czy Pani już powróciła do domu?

Chciałbym korespondować ze „Smutną Iwonką" i „Smutną i brzydką Irką".

Pozdrowienia dla „Krainiaków". Może na zjazd się stawię!"

Tyle od „Henia". Ja dodam, że prawie co roku w czasie feryj akademickich zjawia się on w redakcji i „ucina" sobie pogawędkę z Waszą opiekunką. Należy do tych „Krainiaków", którym nie wystarcza fakt mego istnienia i udzielania się w „Krainie", lecz którzy chcą i potrafią odnaleźć mnie w dalekim Żninie. Przesyłam mu miłe pozdrowienia!

WRÓĆ DO ŻYCIA I DO DZIAŁANIA!...

„Słowianka". Czy życzeniem Pani było, abym ją przyjęła do „Krainy", nie wiem, jakkolwiek wspomniała Pani, że oczekuje odpowiedzi w „Krainie". Co do mnie, to wyznaję, że chętnie widziałabym Ją członkinią naszej ogromnej „Rodzinki". Może by wówczas udało mi się wpłynąć dodatnio na niepokojący stan Pani psychiki. Bo podług mnie, Droga Pani, choroba nie powinna odbierać człowiekowi tak dokładnie sił żywotnych i energii, aby zatracił wszykie zainteresowania. O nie! Droga Moja — tak nie wolno! W ten sposób może Pani narazić się na to, że nie wyzdrowiejesz nigdy.

Nie wiem ja jaki jest rodzaj Pani choroby, lecz z drugiej strony jestem przekonana, że nie ma na świecie takiej, która by mogła powodować całkowity zastój w dążeniu do aktywności, jeżeli już nie fizycznej, to przynajmniej myślowej.

Chociaż to ostatnie nie ma miejsca u Pani, gdyż piszesz mi, iż oprócz natury nic już Cię nie interesuje.

Więc jednak jest jeszcze coś, co Panią trzyma silnie przy życiu i skłania do wydania pewnego wysiłku naprawdę aktywnego, bo twórczego. Przykładem przekonywującym jest ten wiersz, wprawdzie biały, ale ogromnie wymowny napięciem dramatycznym. Jest w nim niesłychana ekspresja i artyzm. Wydrukowałam go w poprzednim numerze z ilustracją lekko zmienioną, lecz nie psującą głównego motywu, wyczarowanego przez Pani własną podnieconą wyobraźnię.

I przypuszczam, że wiernie został oddany ten obraz — wizja, który tak Panią wstrząsnął.

Ale powróćmy do myśli przewodniej niniejszego listu, mianowicie do wzbudzenia w Pani od nowa ochoty, do życia i... do działania!

Proszę koniecznie podjąć dawniejsze zainteresowanie lub wzbudzić w sobie nowe. Musi w nich zatętnić dramatyczna aż siła, która jedynie zdolna byłaby wrócić Panią życiu. Moim zdaniem ma Pani w sobie podkłady po temu i nie wolno Ci ich zlekceważyć, choćbyś nie wiem jak ciężko była chora.

Tak myślę, że dopóki będę miała z Panią kontakt korespondencyjny, nie dopuszczę do tego, abyś miała nie podjąć tej walki wróżącej zwycięstwo.

Moje dobre myśli są przy Pani i proszę Ją o wyrwanie się z długotrwałego letargu!

„Moje Powieści" przekazałam na wskazany adres.

Żegnam na krótko, bo wierzę, że słowa moje nie miną bez odzewu!

RANKIEM...

Cudnym, ciepłym, letnim rankiem
rosę piją z traw motyle,
złotym okiem lśnią rumianki,
tyle ich na łące, tyle!
Prosto w słońce patrzą one,
rozkochane w jego złocie,
dalej maki lśnią czerwone
i drobniutkie cud — stokrocie.
Uwijają się motyle,
co słodyczy, co tu woni!
Szybko w słońcu płyną chwile,
za motylem, motyl goni.
...I dziewczyna, cudnym rankiem,
rwie na łące kwiatów krocie:
krwawe maki i rumianki
i skromniutkie cud — stokrocie!
W rzewnej pieśni splata wianki,
wrzuca w strumyk rozszemrany — —
niech popłyną, wodą rwącą,
gdzie jej luby, gdzie kochany!

X.

OPISZESZ NAM SWOJE WRAŻENIA

„Czarny Pirat znad morza". Mam wrażenie, że nie bardzo długo czekałeś na odpowiedź w „Krainie". Uwzględniłam fakt, że masz niedługo wyjechać (a może już wyjechałeś?) na pełne morze na swej żaglówce. Ładna trasa, nie ma co! Gdynia — Orłowo — Sopoty — Gdańsk otwartym morzem do granicy niemieckiej, dalej Władysławowo — Jastarnia — Puck Gdynia. Wspaniała jazda — imponuje mi ogromnie!

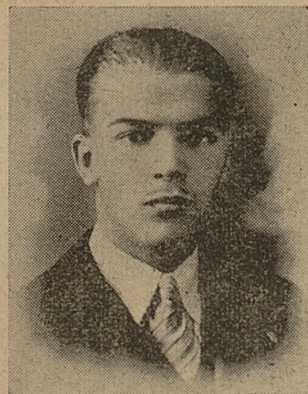
Liczę na opis wrażeń — pamiętaj! A teraz życzę Panu pomyślnych wiatrów w rejsie!

PROŚBĘ SPEŁNIŁAM CO DO JOTY!

„Nieznany". Komunikuję Panu, że spełniłam Jego prośbę co do joty! Będziesz mógł teraz zaczytywać się „Moimi Powieściami" i gorliwie studiować tę uwielbianą przez siebie „Krainę".

Nie wiem tylko, czy danym Ci będzie przeczytać niniejsze słowa. Tak czy owak, zostały one dla Ciebie wypisane — reszta ewentualnie może być mniej ważna.

Życzę Ci zmiany warunków życiowych na lepsze i przesyłam przyjazny uśmiech!



Poważnie, rzec by można, trochę nawet mrocznie patrzy na nas jeden z członków naszej „Rodzinki" — „Kazimierz Junoszyc."

POZOSTAŃ ZE MNĄ...

Pozostań ze mną wśród ciszy,
która jest naszą zadumą —
Nim pojmę twoją głębię
miłości... nim ją zrozumiem.

Pozostań ze mną wśród ciszy,
dzwoniącej — echem wspomnień —
zanim odejdę z czasem,
zanim zapomnisz o mnie!

Pozostań ze mną wśród ciszy,
ukołysanej poszumem
fal, które o brzeg pluszczą —
twojej i mojej zadumy. —

Pozostań ze mną wśród ciszy,
bo milczenie wszystko ci powie
i to, że nocy wczorajszej
byłaś z księżycem w zmowie...

I to, że gwiazd brylanty
przesypywały twe dłonie...
i to, że miłość twoja
objęła me serce, jak płomień...

I to, że nad brzegiem wspomnień
wichrowe się smutki kołyszą —
Nie odchodź, nie odchodź — ode mnie!
jesteś mi wszystkim...
— bo ciszą...

Józef Baranowski.

LIST Z TOLEDO, OHIO, U.S.A.

„Serdeczny mój druh, p. Adam Czekalski, literat, zamieścił w numerze 17 swój miły wiersz, poświęcony mojej rodzinie, toteż korzystając z tej okazji nie tylko, iż wyrażam niniejszym serdeczne słowa podziękowania, ale także donoszę, że doznałem wskutek tego wiele radości, połączonej z nienasyconą tęsknotą za uroczą Ojczyzną. Tęsknota ta jest jeszcze potężniejsza, gdy czytam w komunikatach o różnych wycieczkach rodaków do Polski. Niestety, na luksus ten miliony rodaków w obecnym kryzysie nie mogą sobie pozwolić!

Dlatego też zasyłam Szan. Redakcji oraz czytelnikom „Moich Powieści" wyrazy pozdrowień od niezliczonej liczby rodaków, pochodzących z okolic Żnina, Poznania, Gniezna, Mogilna, w ogóle z całej Wielkopolski.

Tygodnik „Moje Powieści" nosiłem i noszę ze sobą, pokazując go po domach. Niejednemu Wielkopolaninowi oko zarosi się na widok krajowej gazetki. Nie mogą wprost Poznańczycy uwierzyć, iż mam w swych rękach polski tygodnik, wydawany i drukowany w ŻnINie. Czuję niezwykłą satysfakcję, gdyż wzbudzam w sercach owych starych wygańców spod dawnego zaboru pruskiego wspomnienia z ziemi ojczystej.

Dzielnica, w której od roku pracuję, została blisko 70 lat temu założona przez pionierów, emigrantów, przybyłych z okolic Żnina, Poznania i innych okolic Wielkopolski. Obecnie mamy tu już 4-tą generację ich potomstwa, które dotychczas włada biegle językiem polskim i przynosi polskiemu imieniu zaszczyt w tym dużym mieście, liczącym 340.000 mieszkańców. Toledo liczy podobno 40.000 Polaków.

Jako Małopolanin, od dziecka wychowany w duchu polskim, kształcony w polskich gimnazjach, doznaję ogromnego zadowolenia, iż zamieszkuję w środowisku Wielkopolan, mam okazję nie tylko starym osadnikom opowiadać o Ojczyźnie, ale także tutaj zrodzone potomstwo młodsze i starsze informować o Polsce.

W mieście Toledo tubylcy dziś poprawniej mówią po polsku, niż w innych okolicach emigranci. Przekonałem się o tym osobiście.

Do Was, Kochani Czytelnicy i „Krainiacy", zwracam się o nawiązanie kontaktu z tutejszymi Rodakami. Do Waszych dzieci, zwłaszcza w wieku od lat 10 do 18 kieruję prośbę o nadsyłanie do mnie listów, które następnie wręczę tutejszym dzieciom szkolnym z polecenim, by na takowe odpisały, dalej wysyłały w zamian znaczki pocztowe, widokówki, ilustrowane pisma etc.

Tutejszych Polaków interesowałyby widoki ich wioski, miasteczka i okolicy, którą opuścili. Młodzież pragnie widzieć Polskę w obrazkach. Ja ze swej strony pragnąłbym rozpowszechnić „Moje Powieści" wśród szerokiego ogółu znajomych i w tym celu załączam listę znajomych rodaków, zamieszkałych w mojej dzielnicy. Będę się również starał, ażeby znajome mi osoby pisywały listy do „Moich Powieści".

Gdybym tak miał czas do pisania, mógłbym z tej dzielnicy nabrać tyle tematu, którym zapełniłbym całe tomy. Wszak każdy 85-letni, 90-letni Kodak, którego spotykam tutaj prawie na każdym kroku, opowiadając swoje przygody i przeżycia, mógłby dostarczyć masę materiału. Tych starców — pionierów spotykamy tu wszędzie. Większa część z nich przybyła do U. S. A. przeszło 50 lat temu.

Spotkałem tutaj również mężczyzn i kobiety, urodzonych w Toledo przeszło 60 lat temu. Jedna Wielkopolanka przybyła w te strony 68 lat temu, gdy miała zaledwie 5 lat. Opowiadała mi ona, że owa wspaniała polska dzielnica, zwaną „Nebraską" (skoncentrowana wzdłuż Nebraska Avenue), teraz zabudowana pięknymi, białymi domkami, podówczas była „borem" szumiącym i starym. Pierwsi emigranci hodowali tam jeszcze krowy i bezrogi, oraz kury, kaczki i gęsi. A dziś owa polska dzielnica jest jedną z najschludniejszych dzielnic tego dużego miasta, położonego zaledwie o 57 mil od Detroit.

Polacy zamieszkują tu przeważnie w 1 — familijnych kotażach, otoczonych schludnie utrzymanymi trawnikami, grządkami i krzewami. Ludziska są do tego stopnia skrzętni, że chwasty wyrywają z trawników na kolanach. Czegoś podobnego nie widzi się nawet w parkach.

Skrzętność i schludność Wielkopolan może posłużyć za wzór Rodakom z innych zaborów, zamieszkałym na ziemiach Waszyngtona. W parze z powyższymi postępuje oszczędność, ekonomia, wstrzemięźliwość — w rezultacie czego widzimy tu ogólny dostatek.

Z emigracji młodszej mało tu spotykamy ludzi. Gdziekolwiek ujrzymy osobę liczącą lat 40—50, można przypuścić, że urodziła się w Ameryce. Mimo to, na ulicy, w tramwajach, autobusach, czy wychodzące z fabryk kobiety rozmawiają ze sobą głośno po polsku. Obcej osobie wydawałoby się, że te kobiety — to emigrantki. Ponieważ znałem je, wiedziałem, że były to Amerykanki, córki polskich emigrantów. Mówię tu o kobietach starszych, ponieważ one jeszcze zawsze posługują się wyłącznie językiem polskim. Mężczyźni — co innego: U nich panuje zawsze zobojętnienie. Lecz i oni, gdy się zejdą z emigrantami, mówią po polsku, bez żadnego żenowania się.

Znajomi moi, pomimo, iż wiedzą, że mówię płynnie po angielsku, rozmawiają ze mną po polsku. Owe kobiety — Amerykanki głównie podtrzymują polski język i polskie obyczaje w domach, które są ogniskiem, ba, sanktarium narodowości polskiej. Boć wiemy to dobrze, jaką rolę w życiu patriotycznym odgrywa kobieta i jej ognisko rodzinne.

Czyż to nie satysfakcja, gdy zajdzie się do domu, w którym rodzice — emigranci już nie mieszkają, a małżeństwo urodzone w Ameryce rozmawia z dziećmi po polsku? Spotkałem też staruszki, liczące blisko 70 lat, urodzone w Ameryce, które po polsku mówiły płynnie, natomiast po angielsku słabo. Nie można się też im dziwić, gdyż cały czas spędziły w polskiej dzielnicy, rzadko kiedy spotykając się z Amerykanami anglo - saskiego pochodzenia.

Kończę, zasyłając serdeczne pozdrowienia z dalekiej Ojczyzny.

Józef Walerian Bronowicz.
Indiana Ave.
Toledo, Ohio.
U. S. A."

Taki to list, przepojony tęsknotą za starym krajem, a równocześnie dokładnie informujący nas o warunkach życia polskich emigrantów w Ameryce, przesłał nam przyjaciel Pana Czekalskiego, który dobrze jest znany Wam, Drodzy „Krainiacy", z licznych wierszyków i nowel, zamieszczanych w naszym tygodniku, a także z ogromnie ciekawych powieści! Pamiętajcie odpowiedzieć mu sercem za serce i pamięcią za pamięć — bardzo Was proszę!

Serdecznie Dziękuję Panu, Panie Bronowicz, za ten kochany list i proszę nadal pamiętać o nas! Ja ze swej strony będę zachęcała moich sympatyków, aby nie przerywali kontaktu listownego z braćmi, żyjącymi na obczyźnie.

Posyłam Panu z głębi serca płynące dobre życzenia i proszę o wyrażenie współtowarzyszom doli emigrackiej jak najserdeczniejszych pozdrowień!

MARZENIE

„Czarnej Kropeczce" poświęcam.

Jest cisza dookoła, tylko muszki dzwonią
i brzęcza imię twoje, jedynie kochane,
a promienie słoneczne białe chmurki gonią
i zdają się powtarzać twe imię wybrane.

Jestem sam w ciszy lasów, uroczych, drzemiących,
zasłuchany w odgłosy, które zewsząd płyną.
I zda się, że w tych głosach, dokoła szumiących,
szepty się rozpływają, wracają i giną.

W takich chwilach uroczych leżę na murawie.
Nade mną baldachimy z liści rozmaitych.
W takich chwilach spokojnych trawa szepce trawie
upojne słowa tęsknot, marzeń złotolitych.

I zda mi się chwilami, żeś tu ze mną w lesie,
taka mała i drobna, z oczami jak tonie;
że szept lasu dokoła słowa twoje niesie,
a miast traw — usta twoje całują me skronie.

Więc nie śmiem się poruszyć — szkoda mi złudzenia.
Takie cudne sny schodzą na me oczy jasne.
Więc leżę zasłuchany w dookolne pienia
i całuję w marzeniach twoje usta kraśne.

Adam Czekalski.

ZMIENIŁAM PSEUDONIM!

„Serce". Ziemniłam nieco Twój pseudonim, ponieważ „Samotne Serce" już mamy w „Krainie".

Owszem, przyjmuję Cię do naszego grona i nie wątpię, że będzie Ci w nim dobrze.

Nasza nowa „Siostrzyczka", ma lat 18, jest ciemną blondynką, średniego wzrostu. Kocha przyrodę, muzykę i taniec. Przez korespondencję pragnie bliżej zaznajomić się z Sympatykami „Krainy" i lękliwie zapytuje, czy znajdzie się ktoś, co nie pożałuje skreślenia choć kilka słów do niej.

Na pewno znajdzie się ktoś taki — wierz mi i bywaj zdrowa!

WYSONDUJ PRAWDĘ!

„Ferdy". Nic nie ginie w „M. Pow.", Miły Chłopcze, wiedz o tym! Twój ten ważny list mam w tej chwili przed sobą na biurku, jak również ten z ostatniego lipca.

Rozmyślnie zwlekałam z odpowiedzią w tej sprawie, gdyż z doświadczenia wiem, że w podobnych wypadkach nie należy się zbytnio spieszyć.

Ale ponieważ zależy Ci jednak na szybkiej odpowiedzi, więc radzę Ci (i to stanowczo!) grać na zwłokę. Tu pospiech mógłby okazać się niebezpieczny.

Podług mnie, Twoi Rodzice mają dużo słuszności i absolutnie nie wolno Ci lekceważyć ich zdania. Oni mają za sobą doświadczenie, a Ty entuzjazm i romantyczność młodości, oni powodują się obawą o Twoje szczęście, a Tobie się zdaje, że chcę Cię spętać własnymi „widzimi się". Dążenia Wasze w tym wypadku kolidują się znacznie, lecz nic tu nie dowodzi, że starsi nie mają racji. Dlatego też nastaw się nieco krytycznie do własnych uczuć i powoli sonduj prawdę. Mnie się zdaje, że poznana prawda sprawi ból i rozczarowanie Twym młodzieńczym uczuciom, lecz lepsze to będzie od tragedii, która mogłaby się namotać i rozegrać w wypadku, gdybyś dziś na ślepo poszedł za głosem serca i fantazyj młodzieńczych, a niedoświadczonych!

Miej więc oczy otwarte i nie spiesz się — taka jest moja rada!

Posyłam Ci przyjazny uśmiech i dopisuję komunikaty:

„Halino" (Czeremcho) — list wysłałem na poste-restante — proszę o wczesną odpowiedź. Pozdrawiam!"

„Mary z Gdyni" — list wysłałem. Czekam! Przesyłam koleżeński uścisk dłoni".

Pragnę korespondować z osobami z Wągrowca i Trzemeszna. Może ktoś z „Krainiaków" z tych miejscowości uścisk dłoni".

Panie Józiu Kozaku z Chodzieży, mam z Panem bardzo ważny i interesujący temat do omówienia. Może Pan napisze do mnie? Znam Pana z Jotki i opowiadania osób trzecich. Bardzo interesuje mnie Pańska osoba. Czekam na list i pozdrawiam!

„Feniu znad jezior" — czy lubisz wędkarstwo? Może mieszkasz niedaleko mnie? Skrobnij liścik, a może wybierzemy się razem na rybki kajakiem.

Pozdrawiam „Blankę", „Małą Konwalijkę", „Faridę", „Smutną Czarnulkę", „Helusienkę", „Ankę z Kieleckiego", „Kalinę z Podlasia", „Słoneczną Kazinkę", proszę powyższe o liściki! Odpowiedź murowana!

Panu Baranowskiemu uznanie za utwory!

Wszystkim innym „Krainiankom" i Krainiakom" cześć! Do spotkania na zjeździe, podczas Targów Pałuckich."

UFAJ

„Małej Konwalijce" — *poświęcam."*

Choć nad Twoją głową
Burza rozszaleje,
Zawierz moim słowom:
— Ufaj, miej nadzieję...

Bo choć dziś Twą duszę
Wielka boleść dręczy,
Bóle minąć muszą
I nie wrócą więcej.

Boć nad nami we dnie
Czuwa, jak i w nocy,
Ten, co światem władnie —
Los nasz w Jego mocy.

On pamięta o nas,
Wszystko z Jego woli —
Zsyła radość na nas,
Również to co boli...

Więc choć żal duszyczkę
Trapi — nie rozpaczaj.
Rozpogódź twarzyczkę,
Ufnie w przyszłość patrzaj!

„Eł — Ka".

LICZĘ NA PANA PRZYJAZD!

„Elem n. Notecią". Dziękuję Panu uprzejmie za słowa uznania i oznajmiam, że zanotowałam głos Pana za zjazdem. Ale to nie wszystko, liczę niezachwianie na Pana przyjazd, przeto proszę się z tym liczyć!

Sprawę administracyjną załatwiłam. Oczekuję znaku od Pana jeszcze przed zjazdem. A teraz pozdrawiam i umieszczam dopisek:

„Krainiakom" dziękuję za wszystkie przesłane pozdrowienia i odwzajemniam się chętnie!

„Humorystka" — miły uśmiech! — Będę w sierpniu w tych stronach.

Serdeczne pozdrowienia dla „Faridy", „Samotnej Duszy", „Marzenki", „Wesołej Tusi spod Grudziądza", p. M. P. z L., B. G. z Lw."

ŁOBUZIAK Z CIEBIE!

„Smutna i brzydka Irka". Łobuziak z Ciebie, Iruś, nie możesz mi tego zaprzeczyć, ani wnieść apelacji. A gdybyś nawet chciała, to już naprzód się ubezpieczam, poddając pod sąd „Krainiaków" wyjątek z Twego ostatniego listu — niech się przekonają, czy nie mam racji.

Co zaś do owej poważnej winy, no tę pozostawiam własnej „dobroci", która z kolei każe darować Ci ją całkowicie. Jesteś zadowolona? Wobec tego całuję Cię i przechodzę do przedrukowywania:

„Serdecznie... aj, to takie oklepane. Co by tu nowszego wymyśleć, coś... no boja wiem... myślę i myślę i nic moja szanowna łepetyna wymyśleć nie może (szalenie niemądrą głowę mam do wymysłów, trudno, jak tylko mi taką Pan Bóg dał, co mam z nią począć.) Mocno, tak na serio serdecznie kochanej Pani dziękuję za odpowiedź w „M. P."

Już tak dawno moje oczy nie oglądały „Krainki", że stęskniły się jak za chłopcem i szalenie zachciało się im znowu coś dla „Smutnej i brzydkiej Irki zobaczyć. I doczekały się. Bo otóż pewnego pięknego poranka, kiedy niebo się zamyka na guziki... ach co ja też piszę, przypomniał mi się jakiś dość dowcipny wiersz i naturalnie chciałam się nim podzielić (na połowę) z Panią Sonią i oczywiście za szybko mi wyprysł. No, ale od nowego wiersza... Więc pewnego pięknego poranka, gdy zobaczyłam listonosza z wypchaną teką, przeczucie mi szybko szepnęło, że nareszcie otrzymam moje „perełki". I naprawdę nie omyliło mnie przeczucie. Dostałam i proszę sobie wyobrazić, że dla mnie też coś było! Ciekawe prawda?

No, ale rozgadałam się, a przecież miałam o zupełnie czym innym zacząć.

Chwilka głębokiego zastanowienia... zaraz, niech mi się przypomni... cierpliwości, zaraz będzie... no już!... Co słychać w „Kraince"? Zjazd?! To mnie najwięcej martwi!... Na zjazd nie mogę przyjechać. Z wszystkiego nici. Duży czarny kłębek nici do zaszycia rany, która powstała na wskutek zjazdu, ponieważ, iż, że itd. nie mogę do Was, Moi Najdrożsi, przyjechać...

Gdybym była bliżej Was... ale tak... jest to niemożliwe! Owszem, gdyby tak w niedzielę ten zjazd był, to może... ale w dzień powszedni mam obowiązki, których niestety porzucić nie mogę! Trudno... — Okropnie mi przykro i już na to konto łez dużo wylałam, ale nic mi to nie pomoże!

Pocieszę się na następnym zjeździe! A na razie niech mi wystarczą zwykłe komunikaty.

„Zaza". Pani Zosiunia ma rację, pisz... mnie się nie bój na pewno odpowiem zaraz. Całusy!

„Aneczka". Już Cię kocham, a co później... brrrr!... Pisz do mnie, Kochanie, a odpowiedź... mur (mocny)... Ściskam i całuję.

„Smutna Iwonka". Dziękuję Kotuś za pozdrowienia i serdecznie Cię całuję!

„Barcia". Za pozdrowienia i „specjalne" uśmiechy dziękuję. W zamian pełen wór serdeczności.

„Krysia Strojna", Sędziny pow. Szamotuły. Trzeba walczyć, pięści ściskać i nie dać się, jak ja! Tadek niech się burcha nadal. Grzmotnij go ode mnie. Ucałuj rączki twej Kochanej Mamuńci. — Ciebie ściskam do uduszenia. — Szkoda, że wyjeżdżasz... — No ale życzę w przyszłości powodzenia. Niczym się nie przejmuj."

LOS NIE BYŁ NAJŁASKAWSZY!

„Wa - Ga". Przyjmuję Panią do naszego grona, życząc jej szybkiego zaaklimatyzowania się w „Krainie".

Dzieje Pani rzeczywiście nie należą do zwykłych, a los nie był dla Niej najłaskawszy, ale powodu do rozpaczy nie ma. Ta przypadłość, da Bóg, wyleczy się już teraz bezpowrotnie. Co zaś do sprawy sercowej, to uważam, że z czasem znajdzie ona właściwe rozwiązanie. Tu nie należy się zbytnio spieszyć, ale zato grę współżycia dwojga bliskich sobie ludzi przewodzić nader delikatnie! I trzeba naturalnie nauczyć się doceniać równie dobrze siebie, jak tę drugą osobę!

Szkoda, że nie poszła Pani na medycynę mimo, że miałaś i masz zainteresowanie w tym kierunku. Zawsze to lepiej zdobyć taki poważny zawód, niż być na opiece krewnych, niechby najbogatszych! Przyklaskuję zamiarowi Pani, dążącemu w kierunku zdobycia samodzielnej pracy, tylko nie wiem, czy ją zdobędziesz, jeżeli nie masz żadnego wykształcenia fachowego, prócz oczywiście świadectwa maturalnego. A może byś tak jeszcze zapisała się na studia, co?

Sprawę administracyjną załatwiłam i spodziewam się, że teraz już regularnie będą nadchodziły numery do rąk Pani. Natomiast uprzejmie dziękuję Pani za nadesłany materiał do „Chwili zastanowienia".

Korespondencję dla „Krainiaków" nadsyłają przeważnie Sympatycy w liście do mnie. Na zaklejonej i ofrankowanej kopercie wypisują czarnym ołówkiem pseudonim. Ja wycieram gumą ten napis i atramentem wypisuję właściwy adres i list odsyłam normalnie przez pocztę. A na list napisany do mnie odpowiadam na łamach „Krainy".

Przesyłam Pani uścisk dłoni i przedrukowuję Jej apel do „Krainiaków":

„Halo! Może ktoś z krainiackiej braci zechce skierować uwagę na moją osobę. Może to będzie ktoś z Warszawy, do której często jeżdżę. A może z Zaleszczyk, które bardzo lubię, gdyż jest tam tak ciepło w lecie, jak tam, gdzie się urodziłam! I może dlatego tak bardzo kocham słońce i lato!

Lubię jeszcze muzykę i taniec, ciekawi mnie medycyna i malarstwo — mam nawet dużą kolekcję niezłych reprodukcyj. Jestem ponadto wyznawczynią teatru, kina, ładnych powieści, no i... robótek szydełkowych, ręcznych naturalnie!

Wycieczki są moją największą przyjemnością, lecz na razie siedzę w domu i leczę się. Lato przez to jest dla mnie stracone, może więc pocieszy mnie ktoś ciekawym listem? Na pewno odpiszę!

Moc pozdrowień dla całej „Rodzinki" i czekam!"

A JEST TO ODZEW SERC!

„Smutna Ślązaczka". Kochana Moja, Otrzymałam oba Pani listy i ten przepiękny prezent. Zaskoczyłaś mnie i wzruszyłaś tak bardzo, że nie umiem tego po prostu wyrazić! A jednak mimo, że wytłumaczyłaś mi, dlaczego posyłasz ten prezent i oczywiście musiałam go przyjąć — czuję się zażenowana. Gdyby ta pamiątka była mniej kosztowna, ale tak!...

I te Twoje życzenia, aby Dobry Bóg dał mi jak najwięcej szczęścia i abym nigdy nie zaznała goryczy i nie rozczarowała się do osób, którym się ufa — jakżeż to wszystko świadczy o Twoim dobrym sercu i bogatych przymiotach!! Szczęśliwa jestem, że mogłam okazać Ci się pomocną w chwilach smutku i że będę umiała podzielić Twoje radości, których oby nie skąpiło Ci życie! Sama nie raz westchnę o to do Boga!

Cieszy mnie też ogromnie, że w „Krainie" znalazłaś zadowolenie, o którym świadczy poniższy wyjątek z Twego listu:

„Dużo, bardzo dużo zadowolenia przyniosła mi „Kraina", a szczególnie „Krainianki", które, nie znając mnie osobiście, są dla mnie takie miłe, serdeczne i kochane. Za to z serca im dziękuję!

„Niezapominajce III" ponadto ślicznie dziękuję za życzenia i całuję buźkę"!

Wiem, Kochana, że Ciebie coraz bardziej kochać będziemy, będzie to zresztą tylko słaby odzew naszych serc na wołanie Twego złotego i gorącego od przyjaznych uczuć — serca! Całuję Cię serdecznie, Kochana Moja!

PROSZĘ O WYJAŚNIENIA!

„Królewicza z bajki" przyjęłam w poczet członków „Krainy", acz z lekką obawą, czy dobrze będzie się czuł w „Krainie szczerości i naszych trosk". Bo nasza „Kraina" jest wszak skrajnym przeciwieństwem bajkowych iluzyj — jest raczej mocno ziemskim padołem, nie tyle płaczu, ile wzajemnego pocieszania się! Ale nie traćmy nadziei, że „Królewicz" będzie potrafił się przystosować, albo też zawojuje nas urokiem i siłą swoich bajkowych światów, co byłoby wcale miłe!

W sprawie nadesłanych 2 powieści informuję, że nic nie wiemy o takowych. Proszę podać mi tytuły tych powieści i koniecznie swój adres. Anonimowo przysyłanych prac nie traktujemy poważnie i nie odpowiadamy oficjalnie na takież listy!

Nie wiem, czy nie pogniewa się „Królewicz z Bajki", iż w celu wykorzystania Jego zdjęcia na łamach „Krainy", pozwoliłam sobie obciąć marginesy fotografii. Gdyby to miało nastąpić, ku memu wielkiemu zmartwieniu, to skłonna jestem kazać zrobić nową reprodukcję już z marginesami.

Proszę jak najszybciej przysłać mi wyjaśnienia, o które proszę i przyjąć moje serdeczne pozdrowienia!

„Halo! Tu „Królewicz z bajki"! Zjechał do „Krainy", aczkolwiek na nowoczesnych skrzydłach z metalu — jednak spowity czarem poezji.

Zatem, Nadobne „Krainiaki", nie zwlekajcie, a kochajcie i miłe słówka przysyłajcie!"

ZAKWALIFIKOWAŁAM DO DRUKU

„Eł - Ka". Z przyjemnością komunikuję Panu, że nowelę Jego zaklasyfikowałam do druku. Kwestia honorarium zostanie załatwiona przez nasz sekretariat. Wierszyki także pójdą w „Krainę" z wyjątkiem zatytułowanego „Modlitwa". Zbyt dużo w nim goryczy i rozdrażnienia!

Życzę Panu dużo natchnienia i nowych tak wartościowych nowel. Z radością będę wówczas mogła zawiadamiać Pana o ich przyjęciu do druku w naszym tygodniku.

Czekam na ten przyobiecany długi list i posyłam życzliwy uśmiech!

„Mała Konwalijka"! Dziękuję za list i odwzajemniam pozdrowienie. List będzie w dniach najbliższych.

„Mogilnianko", — twierdzisz, że omyliłem się, co do Twej osoby? Być może. Domyślam się jednak, ktoś Ty. Dla pewności daj znak. Do widzenia!

„Słodka Maruszko" — ktoś Ty? Zdaję mi się, że znamy się dobrze — czy tak? Uchyl przyłbicy. Zobaczymy się w G. Czołem!"



Jest to królewicz piękny i młody,
Pokocha księżniczkę cudnej urody.
Gdyby go ona kochała wzajem,
To świat ten dla nich stałby się rajem!

CO POWIEDZIAŁA MI WRÓŻKA?

Na nic nie przyda się serce spragnione,
serce głodne i drżące jak liść,
Poprzez życie jest ci sądzonem —
samotnie iść,
Nie pomoże, bo pomóc nie umie
najsmutniejsza ze smutnych skarg.
Nie odnajdą twe wargi w tłumie
czyichś drogich, czekanych warg.

A. E.

ZA DUŻO KOMUNIKATÓW

„Wołyniak“. Miejsce się znalazło, choć właściwie trochę za dużo dał Pan tych komunikatów! Na drugi raz będzie Pan musiał nieco się streścić — dobrze?

Pozdrawiam Pana bardzo serdecznie i przechodzę do tych licznych komunikatów:

„Ninetko“! Kochaną jesteś dziewczynką. Co prawda, to wcale się nie znamy, ale to może zawsze nastąpić. Jeśli masz naprawdę szczere chęci, bardzo proszę, napisz do mnie, ewentualnie podaj swój adres, to ja napiszę — zgoda?

„Zadumana Rena S.“! List napisałam, niestety, wrócił niepodjęty. Nie wiem, kto zawinił! Czy naprawdę jesteś tak zadumana?

„Bajka“! Czy otrzymałaś pozdrowienia wysłane z Łodzi? Bardzo Cię proszę, skrobnij parę słów.

„Irusia z Wołynia“. Bardzo się ucieszyłam, że w „Kraince“ spotkałam i Wołyniankę. Napisz coś do mnie, względnie podaj swój adres bo może nawet blisko siebie mieszkamy. Moglibym odwiedzić Cię w przyszłości.

Kochani „Krainiacy i Krainianki“ napiszcie coś do „Wołyniaka“ pod poste-restante Karasin, pow. Kowelski dla Jul. Cz. Odpowiedź murowana.

Sprawa załatwiona „Ryśku D.“ pomyślnie. Udała się, lecz niestety długo nie pozostała w tajemnicy jako zwykle u K—

Dla całej „Krainy“ przesyłam moc serdecznych pozdrowień!“

BŁĘKITNA NADZIEJA NIE ZAWIODŁA

„Burza“. Twoja „piękna, błękitna nadzieja“ nie zawiodła i niniejszym zostajesz przyjętą do szeregów Krainiaków, zrzeszonych w naszej przemiłej „Rodzince“.

Z radosnym błyskiem w oczach myślę w tej chwili, że najbliższa sobota nie przyniesie Ci rozczarowania, bo w „Moich Powieściach“, leżących tak pańsko na pięknych koronkach Twego „jaśka“ znajdziesz i dla siebie parę miłych zdań.

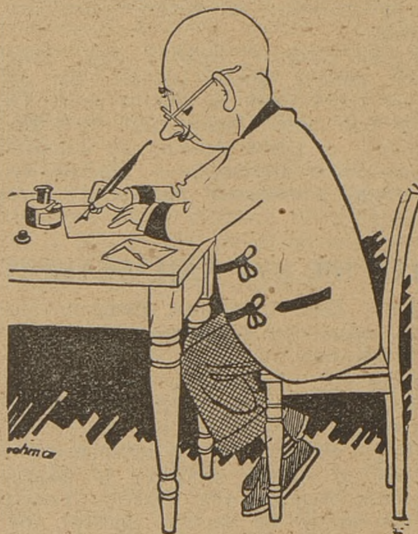
Naturalnie, Dziecino, że nie tylko uda nam się, jak to przewidywałaś, porozumieć się, ale już to nastąpiło. Niech tylko dalsze Twoje listy będą tak miłe i słodkie, a ręczę, że przyjemność w naszej rozmowie przybierze jeszcze na sile.

Jednego nie powiedziałaś mi wszakże, mianowicie, czy praca w biurze daje Ci dużo zadowolenia i czy jest z kategorii tych, które sobie wymarzyłaś będąc jeszcze grzeczną i pilną sztubaczką?

Dlaczego o to pytam? Bo ogromną wagę przykładam do zadowolenia, które dać może tylko praca, wykonywana z rzetelnym zamiłowaniem. I wszystkim moim „Krainiakom“ z serca życzę, aby mogli pracować w dziedzinie, którą ukochali i która odpowiada im całkowicie.

Oczekuję szczegółowych informacyj w tej materii, a oczekiwanie to skracam serią przyjaznych myśli, wysyłanych w Twoją stronę.

„Krainiakom“ zaznaczam, że przesyłasz im dużo pozdrowień. Specjalnie, podobno interesuje Cię „Biała Uajali“ i „Lucyna ze Lwowa“. „Lucyna ze Lwowa“ dlatego, że kochasz bardzo to miasto i masz w nim kogoś bliskiego!...



Jeden z Czytelników „Moich Powieści“ nadesłał nam bardzo udatny rysunek, wyobrażający Wujka Janusza. Jak myślicie, Drodzy Sympatycy, czy fantazja nieznanego rysownika dopisała, czy zawiodła?...

WIERSZE SŁABE

„Dziewczyna znad brzegów morza“. Szum morza, ani złote pocałunki nadmorskiego słońca, nie nauczyły Pana pisania dobrych wierszy. Nadesłane prace, to miernoty lub banały, przypominające chwilami wiersze niezapomnianego ks. Baki. Nie warto pisać dalej!

NA POCZĄTEK...

„Kazik“. Witam Pana jak najserdeczniej! Jestem szczerze rozbrojony i listem i wierszykami Pana. Czuję, że niedługo potrwa, a stanie Pan w szeregu „nadwornych poetów „Krainy“.

Na początek zamieszczam wiersz Pana — „Dumka“ — równocześnie proszę o przesyłanie dalszych prac, oraz zwracam Panu uwagę, że utwory, przeznaczone do druku, pisze się zawsze po jednej stronie papieru.

Na zakończenie radzę Panu przeglądać skrupulatnie „Krainę“. Zaprotegowałem bowiem Pana P. Zofji, która niewątpliwie przedstawi nowego, a tak bardzo miłego gościa w „Krainie“. Serdecznie pozdrawiam!

DUMKA

Od strony stepu wiatr tęsknie nuci,
W melodjach cudnych gdzieś w przestrzeń mknie,
Jak młode dziewczę, co raz się smuci,
Tęskni i płacze, to śmiać się chce.
Tak bym chciał z tobą, wichrze skrzydlaty,
Popłynąć w cudny, zielony kraj,
Tak bym chciał z tobą płynąć nad chaty,
Tylko mi wichrze skrzydła daj.
Tak bym chciał z tobą przez trawy płynąć,
Tak bym chciał piersią fale ich pruć,
Raz się wybijać, to znów w nich ginąć,
Tak bym chciał w stepie tęsknotę snuć.
Tak bym chciał bujać między orłami
I słuchać trawy szumiącej gry,
Tak bym chciał dumać nad kurhanami
I ze skał krzesać młodości skry...

„Kazik“.

WIECZOREM PRZY FORTEPIANIE

Czasem, wieczorem, przy fortepianie,
Kiedy gram sobie ciche piosenki,
Myślę o tobie, moje kochanie
I pragnę twego uścisku ręki.

Jedna melodia płynie za drugą,
W pokoju zwolna zapada wieczór
I niewidzialną otacza smugą —
Dalekie bardzo i bliskie rzeczy....

Cicho, o jakże cicho wokoło!...
Mkną po klawiszach me smukłe ręce...
Chyli się nisko zmęczone czoło,
A myśl — ku innej biegnie piosence...

W pokoju ciemno, zupełnie ciemno,
Myśl teraz biegnie prosto ku tobie.
Czemuż nie jesteś drogi, tu ze mną,
Tak bym cię chciała mieć dziś przy sobie...

Tak rzadko przecież wciąż się widzimy,
Choć w wyobraźni mej stale żyjesz,
Och, gdy nareszcie znów się ujrzymy —
Serce, jak dzwony, pieśnią zabiją...

— — — — — — —

Łkają klawisze pod moją dłonią,
Gdzieś w dal Schuberta mknie „Serenada“...
Ton jeden wartko drugiego goni,
A w okno moje noc patrzy blado...

„Anka“.

WIERSZE SĄ JUŻ ZNACZNIE LEPSZE...

„Wandzia z B.“ Nadesłane wiersze są już znacznie lepsze od poprzednich. Zamieszczam jeden z nich: „Dni moje“... Wiem, że wiersz ten ilustruje doskonale wewnętrzny nastrój P. i przy tym jest taki prawdziwy. Któż bowiem z nas nie ma poza sobą, lub nie przeżywa tych dni bezsiły i moralnej udręki.

Dopisek Pani zamieszczam i pozdrawiam Panią!

„P. Tadeuszu Rawicki z O.! Wiersz Pana — „Przez życie“ — wzruszył mnie bardzo. Pozdrawiam!“

DNI MOJE...

Duch mój w udręce bezsiły się zrywa,
Znękany życia goryczą,
W rozterce niemej łza boleści spływa —
Nad dolą wiecznie zwodniczą...

W rozterce niemej dni udręki płyną,
Za sobą znacząc krwawy ślad,
Niezdolne spocząć, wśród odmętów giną,
Jak ten zerwany świeżo kwiat...

„Wandzia z B.“

TO NIEWYKLUCZONE!

P. K. Junoszyc. Obietnica Pana, dotycząca przyjazdu do Żnina, napełniła mnie silną nadzieją. Oczekuję Pana!

Czy będę kiedyś w Warszawie? To niewykluczone, ale na razie nie podaję żadnych terminów.

Wiersz... nie podoba mi się! Tak! P. K. Junoszyc, gdyby zechciał, napisałby lepszy. Wiem o tym doskonale i dlatego jestem „srogi jak lew“.

Uśmiecham się do Ciebie, Przyjacielu i gorąco proszę o poprawę na lepsze!

BRAK ZACIĘCIA POETYCKIEGO

„Cyganeczka“.

„Koło bramy pies gdzieś szczeknie,
A w oborze krowa beknie,
Ptak nie ćwierknie,
Kur nie jęknie,
Cicho drzemie wioska mała,
Która w gwarze w dzień dziś stała“.

Oto wyjątek z wiersza Pani! Wyjątek ten zaś jest tak wymowny, że dalsze moje słowa powinny być już zbyteczne. Jednakże nie mogę oprzeć się chęci, aby jasno i konkretnie odwieść panią od dalszego pisania wierszy. Brak Pani zacięcia poetyckiego, Panno Nino! Trzeba się z tym pogodzić i swoje zainteresowania zwrócić w innym kierunku.

Na zakończenie dziękuję Pani za liścik, przesłany z dalekich stron, pozdrawiam Panią i komunikuję, że sprawy administracyjne poleciłem załatwić.

TĘSKNOTA

Czasem powstanie z dna duszy
Zgubiona jakaś tęsknota
I serce łzami zaprószy,
Zgasi je, smętkiem omota...
A potem znika, jak tchnienie,
Zwodnicza, cudna niezmiennie,
Lecz chociaż niesie cierpienie —
Serce jej czeka codziennie.

Z. Olechowska.

Mimo wszystko nie można opuszczać rąk i trzeba działać w dalszym ciągu. Północne prowincje nie uległy jeszcze pacyfikacji, natomiast Yucaran, ta płomienna ziemia południa, od dłuższego już czasu domaga się przybycia cesarza. Podróż zostaje wyznaczona na początek listopada 1865 r. W ostatniej chwili Maksymilian zatrzymany przez chorobę, musi jednak pozostać w Cuernavaca. Cesarzowa odjeżdża sama, w towarzystwie Blondela, posła hiszpańskiego, jednego ze swych ministrów oraz kilku wyższych funkcjonariuszy. Oddział kawalerii tworzy eskortę, by chronić Jej Cesarską Mość przed licznymi bandami gerylasów, którzy napadają na drogach i dopuszczają się nikczemnych okrucieństw".

W czasie podróży cesarzowa imponuje wszystkim swą odwagą i spokojem; rozmawia żywo bądź to z Ramorel'em, bądź z generałem Uaraga, bądź z Eloin'em, podczas gdy towarzyszące jej damy dworu, narzekając na niewygody, palą wonne cygara.

Orszak kieruje się do Puebli, gdzie obszarnicy i kler, wbrew przewidywaniom, witają cesarzową dość przychylnie, poczem rusza w dalszą drogę ku Orizaba. Karolina wspomina swą pierwszą podróż w tym kraju wśród trudności, wypadków, nadziei, radości i zapału. Teraz wszystko jest ponure, Indianie w milczeniu patrzą ciekawie na imponujący orszak ciągnący na południe, smętny nastrój panuje w duszach jej towarzyszy. Karolina jest smutna. Ach, tak, natura jest piękna ze swymi górami, wulkanami, ośnieżonymi szczytami, kępami czarownie pachnących kwiatów; wokoło jaskrawa zieloność, barwne ptaki przelatują nad drogą, niebo lśni czystym błękitem! Należało by cieszyć się życiem, być szczęśliwym, radosnym, upojonym pięknem. Niestety! Cesarzowa uśmiechała się do swej świty i starała się ją ożywić, lecz poza jej uśmiechem wyczuwa się dręczący niepokój, przygnębienie i smutek. I wieczorem, w czasie niewygodnych postojów, nie trzeba nawet czekać, aby cesarzowa zasnęła, by zdać sobie sprawę, iż całe jej zainteresowanie podróżą, jej ożywienie są tylko pozorne. Straszliwe napięcie nerwów wyczerpuje jej siły.

Nie obchodzi ją już piękna natura, i kwiaty i ptaki; nie przejmuje się już złym stanem dróg, poprzecinanych zdradzieckimi wąwozami, nie widzi lękliwych spojrzeń Indian, usuwających się ze strachem z drogi. Wszystko jest tajemnicze w tym kraju słońca i egzotyki. Nęka ją myśl, jak się zakończy ta baśń o cesarstwie, czy Maksymilian będzie nadal panował? Trzeba go bronić, trzeba chcieć nawet wówczas, kiedy on nie chce, trzeba działać za niego i za tych wszystkich, którzy pokładają w nim zaufanie.

Na horyzoncie rysuje się Vera Cruz. Możliwości dobrego przyjęcia były bardzo ograniczone, jednak z chwilą przybycia widzi się, iż kler nie zdążył jeszcze podburzyć tubylczej ludności. Nieopisany zapał przebiega wśród rozentuzjazmowanych tłumów, które krzyczą i śpiewają w czasie przejazdu cesarzowej Karolina musi wejść na wielki wóz tryumfalny, ubrany kwiatami, z którego Indianie wyprzęgają konie i wiozą ją ze czcią do pałacu.

W rzęsiście iluminowanym mieście odbywają się w ciągu trzech dni bale, przyjęcia, koncerty. Jakże mało trzeba, by odzyskać zaufanie. To entuzjastyczne przyjęcie raduje serce monarchini. Niepokój poprzedni już zapomniany. Puebla i Orizaba zapadły się w przeszłość. Karolina patrzy z zachwytem na zielone morze, za którym leży piękna prowincja południa, prowincja należąca całkowicie do niej. Karolina wie dobrze, iż złe podszepty księży nie dotarły jeszcze do tego szczęśliwego półwyspu i pragnie jak najprędzej już tam być, pośród rdzennego ludu meksykańskiego, pośród tych nieszczęśliwych i pożałowania godnych Indian, którzy są tak bliscy jej sercu i oczekują przybycia cesarzowej jak nadejścia boga Bikuculkana, wyglądanego przez całe pokolenia, opowiadające o nim niezwykłe legendy.

Orszak wylądował w Sisal w dniu 23 listopada po kilkudniowej uciążliwej podróży morskiej, w czasie której wszyscy chorowali. Oto wreszcie upragniony Yucatan; dookoła wszystko jest białe: lepianki pokryte białymi liśćmi kukurydzy, domy spalone słońcem do białości, na wybrzeżu Indianie w białych szatach. Nużącą jednostajność urozmaica zieleń palm. Na powitanie cesarzowej przybył komisarz od spraw specjalnych, Salazar, otoczony Indianami, którzy, śpiewając pieśni religijne, prowadzą Karolinę przez miasto.

Rzym nie zdążył jeszcze przesłać tu swoich rozkazów, gdyż kler bierze entuzjastyczny udział we wszystkich uroczystościach ku czci cesarzowej. Karolina przeżywa głębokie wzruszenie na widok nieopisanego uniesienia ludności Yucatanu. Wieczorami odbywa długie przejażdżki pięknym powozem komisarza i marzy o tej dziwnej, a płomiennej ziemi, zamieszkałej przez plemię Mayów, podbicie której kosztowało Corteza tak dużo trudu. Jakiś nowy rodzaj egzotyzmu podnieca wyobraźnię. Wszystko jest tu inne niż w Meksyku. Umysł musi zrobić pewien wysiłek, by dojść do równowagi i przeciwstawić przeżytym już zachwytom, nowy fascynujący czar. Zdumione oczy patrzą na nigdy niewidziane drzewa, nieznane rośliny pełzające po ziemi jak wilgotne płazy, kolczaste krzaki, strzegące dróg, tajemnicze ciemne groty, przez które Mayowie przechodzą na tamten świat, zarośla wysokości człowieka, okalające ścieżki. A tam nowe świątynie najstarszej w świecie religii, dalej strome schody wiodące na tarasy, na których astronomowie indyjscy obliczali wieczyste kalendarze, obok kamienne posągi bóstw, porosłe rudym mchem Tu oto, w tym dziwnym a tajemniczym kraju, wśród nieprzebytych gąszczy żyły plemiona o wąskich oczach, które po bohaterskim odparciu Corteza, powróciły do rozmyślań o matematyce i astronomii.

Idą drwale w wielkich okrągłych kapeluszach ze swymi dziewczętami, które ubrane w długie białe spódnice o barwnych haftach są jakby żywcem wyjęte z płaskorzeźb z czasów Montezumy; nadzy mężczyźni o torsach z brązu wyrąbują szczerby w nieprzebytej gęstwinie puszczy, posuwając się wolno w morzu zieleni; ścięte rośliny krwawią białymi kroplami, zerwane liany, dotknąwszy tłustej ziemi odrastają na nowo; pnie padają pod ciosami siekiery na żarłoczną zgniliznę, pochłaniającą każdą ofiarę śmierci, by przetrawić ją w ciągu kilku nocy na żywe liście i kwiaty.

Jedna krótka chwila i puszcza zamyka się za drwalami; nie ma już powrotu, las zamknął przejście, trzeba przebijać się wciąż naprzód; ludzie uwięzieni przez dżunglę mogą wyjść tylko w przeciwległym kierunku, kierując się busolą.

Odwieczna walka człowieka z naturą; w ciągu jednego dnia puszcza zagarnia na nowo utracony obszar; wioski wapnieją w okrutnych płomieniach palącego słońca; ślepe ściany bez okien rozsypują się na skrawku, wypalonej do białości ziemi, wyrwanej dżungli.

Z nadejściem wieczoru żałosne melopeje przyzywają cień nocy; dusząca wilgoć dręczy ciało, napełnia je rozkosznym znużeniem; kwiaty roztaczają oszałamiającą woń; z głębi ciemnej gęstwiny dochodzi miłosny zew dzikich zwierząt; indyjscy poeci, przybrani w pióra, skandują koronkowe poematy; kłusownicy przesuwają się niedosłyszalnie w swych miękkich sandałach; metysi o krwawych ustach śpiewają chrapliwie namiętne habanery; wąskie oczy Mayów zamykają się zwolna jak rany.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

8)

BOGDAN LEKSZYCKI

TAJEMNICA INŻ. SOMMERSONNE'A

Jan rozebrał się w mgnieniu oka, włożył popękane kamaszki i wytarte sztuczkowe spodnie z wielkimi „okularami" na odwrotnej stronie medalu i ongiś granatową, a obecnie okropnie zrudziałą kamizelkę, przy której brakowało połowy guzików. Teraz sięgnął do pieca kuchennego i dobywszy nieco sadzy, roztarł je na twarzy, szyi i rękach, poczem wytarł je mocno kawałkiem starej koszuli. Tłusty pył wżarł się głęboko w pory skóry i nie wywoływał wrażenia nienaturalności. Kładąc niebieską kurtkę robotniczą i granatową maciejówkę, przypomniał sobie ze śmiechem, jak to przed dwoma laty, kupiwszy je na targu, czyścił nimi buty i wycierał kurz ze sprzętów, by przybrały wygląd „sfatygowany"...

Przymocowane starannie wąsy i nałożone na nos przykopcone okulary, które otrzymał kiedyś z Kasy Chorych, dopełniły charakteryzacji. Przejrzawszy się krytycznie w lustrze, ulokował po kieszeniach pilniki, piłki do żelaza i dłuta, nie zapominając o rewolwerze, poczem ujął w dłoń wielki młot i zatrzasnąwszy za sobą drzwi, począł schodzić wolno ze schodów, niby wędrowny ślusarz.

— Byle się tylko tamten nie zorientował szepnął. — Ja bym zwrócił odrazu uwagę, że z bramy wychodzi ktoś, kto do niej nie wchodził, no, ale miejmy nadzieję, że nie jest on na tyle spostrzegawczy... Śmiecą te świntuchy po schodach

I machinalnie podniósł złożoną w czworo ćwiartkę liniowanego papieru listowego. Rozwinąwszy ją, przekonał się, że pokryta jest kreskami, cyframi i napisami w języku angielskim. Całość wyglądała na jakiś plan, naszkicowany dosyć pobieżnie. Schował kartkę do kieszeni kamizelki, postanawiając przestudiować wolnym czasem ów domniemany plan, zaintrygowały go bowiem angielskie objaśnienia. Gdyby nie one, zapewne wyrzuciłby kartkę.

Minął bramę z udaną obojętnością i spostrzegł, że śledzący go osobnik odwrócony jest właśnie plecami. Nie patrząc nań tedy, skierował się w stronę alei.

Przy witrynie narożnej księgarni, gdzie, jak sobie przypomniał, posterunkowy nr. 341 przeraził się widokiem Straszliwego Trupa, zerknął raz i drugi poza siebie, nie spostrzegł jednak nikogo podejrzanego.

— Został i dalej pilnuje bramy... — szepnął wesoło i przeszedłszy parę kroków, usiadł na jednej z ławek skweru.

Chciał zastanowić się spokojnie, którą by tu nieczynną kopalnię najpierw przemyszkować, przyszła mu jednak na myśl znaleziona kartka.

Wydobył ją z kieszonki i rozłożywszy na kolanie, począł szczegółowo oglądać. Angielski nie był wprawdzie dla niego chińszczyzną, ale niemniej orientował się w nim bardzo słabo. Na domiar złego napisy były mocno zatarte i niewyraźne. W końcu jednak odcyfrował je, litera po literze, i zastanawiał się nad ich znaczeniem. Granice zasadniczego planu, jeśli chciał wziąć pod uwagę grube linie oddzielające, miały



Zamiłowanie do czystości.

kształt trapezu, wewnątrz którego narysowano kilkanaście różnego kształtu wielokątów z przewagą czworokątów. Prócz tego wewnątrz trapezu znajdowało się jedno koło i trzy figury zupełnie nieforemne.

Od razu spostrzegł, że owe wielokąty oznaczone były cyfrą 1, wzgl. 2, podczas, gdy puste pola między poszczególnymi figurami opatrzono cyfrą 3. Jedynkę w odnośniku objaśniono jako „houses and buildings", dwójkę jako „gardens and grassplots", trójkę zaś jako „places and ways". Nie bez pewnego trudu, przywołując na pomoc swą znajomość angielskiego, Czerwicki pojął, że chodzi tu o domy i budynki, ogrody i trawniki, oraz place i drogi. Kółko, oznaczone jedynką, mogło być zatem kominem fabrycznym. Myśl ta pobudzała Jana do tym intensywniejszego zastanowienia się nad planem.

— Do djabła, co znaczy „pond"? I co znaczy „dross"? Zaraz, zaraz, mniejsza z tym... „River" znaczy rzeka, a „rail-way" — kolej, czy tor kolejowy... Cóż to może być za obiekt fabryczny, znajdujący się między rzeką, torem kolejowym, a ulicą?...

Sięgnął do kieszeni po papierosa, ale gdy zapalił go, stwierdził z bezgranicznym zdumieniem, że tajemnicza kartka, leżąca na jego kolanach, zniknęła bez śladu.

Daremnie rozglądał się dokoła, daremnie szukał pod ławką, w koszyku na odpadki i wśród trawy...

XXVI.

ZASADZKA

Na drugim końcu ławki, na którym siedział Czerwicki, drzemał stary żebrak. Przyczłapał on tu wkrótce po przyjściu Jana, on jednak tak był zajęty tajemniczym planem, że nie zwrócił na niego uwagi.

Przez moment podejrzewał, że może żebrak skradł mu kartkę, zaraz jednak odrzucił to przypuszczenie. Starzec siedział w odległości około dwóch metrów, a przytem drzemał. Cóż by mu zresztą przyszło z takiego świstka?

Ale gdy rozważył, że w absolutnie żaden inny sposób plan nie mógł zginąć, spojrzał znowu w twarz żebraka. Wydało mu się podejrzane, dlaczego z bramy wysię nieco a z poza niej wybiegło bystre, bynajmniej nie starcze spojrzenie. I w tej samej chwili nabrał pewności, że to ten stary żebrak przybił do jego drzwi ostrzeżenie o niebezpieczeństwie.

Starzec tymczasem zdjął brudny kapelusz, odsłaniając łysą jak kolano czaszkę. Niby to wahlując się kapciuchem, szepnął:

— Pan jest dobrze ucharakteryzowany, młodzieńcze, ale wszystko to nie zda się na nic. Oni już to odkryli. Jakże można nie spalić takiego listu natychmiast po przeczytaniu?

Czerwicki patrzył z osłupieniem na rzekomego żebraka.

— Nie rozumiem pana...

— Bardzo proste. Ten, który pilnował bramy — zagapił się, ale drugi, który jego pilnował — miał oczy otwarte. Wydało mu się podejrzane, dlatego z bramy wychodzi rzemieślnik, który poprzednio do niej nie wchodził. Pobiegł tedy do drzwi pańskiej mansardy i zapukał, a skoro nikt mu nie odpowiadał, otwarł zamek wytrychem i wszedł. Znalazł na stole list, a w szafie ubranie, które stale pan nosi, oraz szmatę, zawalaną sadzami. Wiedział już wszystko i pobiegł pańskim śladem. Widzi go pan? Proszę spojrzeć ostrożnie na ławkę po prawej stronie. Siedzi i czyta niby gazetę, ale ręczę, że skoro ruszy się pan z ławki, pójdzie on krok w krok za panem.

Czerwicki spojrzał we wskazanym kierunku, ale ujrzał tylko starego Żyda w jarmułce i chałacie, czytającego jakąś żargonową gazetę.

— Ten Żyd?... — rzekł prawie głośno.

— Ciszej! — ostrzegł rzekomy żebrak. — Nie życzyłbym panu, żeby takich Żydów spotykał pan więcej na swojej drodze.

— Kim pan jest?...

— To do rzeczy nie należy. Natomiast raz jeszcze ostrzegam, niech pan się ma na baczności. A o kartkę, którą zgubiłem na korytarzu, a którą pan znalazł, proszę być spokojnym. Co do mnie, wcale nie życzę sobie, by dostał ją w swoje ręce ten... Żyd...

To mówiąc, nadział niezgrabnie kapelusz na łysą głowę i stękając, podniósł się z ławki. Niebawem zniknął z oczu Czerwickiego.

— Jeżeli to nie jest Sławicz, to w takim razie ja jestem dureń! — zakonkludował młodzieniec.

Ale nie miał czasu na komentowanie tego, co już przeszło, musiał bowiem myśleć o tym, co jest, a ta rzeczywistość bynajmniej nie była wesoła.

Jan wstał z ławki i ruszył z powrotem w stronę domu, gdy jednak po kilkunastu krokach podnosił umyślnie upuszczonego papierosa, przekonał się, że rzekomy żebrak, kimkolwiek był, miał rację.

Stary Żyd, niby to bardzo zaaferowany jakimś geszeftem, mruczał i gestykulował od czasu do czasu, ale idąc za nim w odległości dziesięciu kroków, nie tracił go z oczu.

— Czekaj, zrobię ci kawał... — syknął rozgniewany młodzieniec, dostrzegł bowiem posterunkowego nr. 341, który, dziwnym zbiegiem okoliczności, znów pełnił służbę na tym odcinku.

Podszedł do policjanta nagłym ruchem.

— Panie posterunkowy — szepnął — jestem Jan Czerwicki... Mniejsza z tym, — dodał szybko, widząc zdumienie, odmalowane na jego wyrazistym obliczu — jestem ucharakteryzowany. Ten Żyd, co za mną idzie, to przebrany wysłannik w sprawie Straszliwego Trupa... Śledzi mnie. Zechce pan zatrzymać go i odprowadzić do komisariatu ,tam wytłumaczę wszystko dokładnie.

Posterunkowy skinął głową na znak zgody, ale gdy odwrócił się, by ująć rzekomego Żyda, zniknął on gdzieś w niewytłumaczony sposób. Szukali go obaj wśród kołowacizny ścieżek, otaczających krzaczaste gazony, ale napróżno. Przeczuwszy, co się święci, urządził drapaka...

— Sprytny jucha! — rzekł zafrasowany policjant ,żegnając się z Janem, który teraz dopiero zrozumiał, że znowu palnął głupstwo.

— Stało się źle, źle, źle... — mruczał. — Źle i głupio! Trzeba było udawać do końca, że nic nie podejrzewam. Wtedy śledzony tropił śledzącego, a tak ten łajdak ucharakteryzuje się inaczej i znów będzie miał ciągle mnie na oku...

Co robić? Co robić? Iść do domu i przebrać się? Nie, to bezskuteczne. Oni przepatrzyli już dobrze „magazyn" i teraz ich nie oszuka. Doznawał przykrego uczucia, że ustawicznie spoczywają na nim czyjeś oczy, badawcze, złe, świdrujące, ale gdy odwracał się w kierunku, gdzie przeczuwał obecność wroga — nie spostrzegał nikogo. Świadomość, że jest osaczony jak dzikie zwierzę, stała się w końcu tak dojmująca, że postanowił udać się do kierownika brygady kryminalnej, opowiedzieć mu o świeżo zaszłych wypadkach i wspólnie z nim przedsiębrać jakieś stanowcze kroki.

Opuścił obręb skweru i począł iść chodnikiem. Znalazłszy się naprzeciw cukierni Wuestehubego, która, ze względu na zapadający już zmierzch, była oświetlona, zauważył, że jakiś mały ulicznik daje mu znaki.

Chłopak stał jedną nogą na brzegu chodnika, a trzymając się drzewka, huśtał się połową ciała nad rynsztokiem.

Czerwicki podszedł doń bliżej, przypuszczając, że ulicznik jest wysłannikiem owego żebraka, którego uważał za świetnie ucharakteryzowanego Sławicza. Wtedy chłopak położył brudny palec na ustach i wydobywszy z kieszeni kawałek kredy, pochylił się i na płycie chodnika obok drzewka napisał literę „N".

Jan przyglądał się temu ze zdumieniem, a ulicznik podszedł do następnego drzewka i napisał „i", potem u stóp dalszego „e", potem „c", jeszcze później „h".

— „Niech"... — szepnął Czerwicki i szedł za chłopczykiem, odczytując niezgrabne kulasy, wypisywane przezeń na płytach.

Litery układały się w zdanie:

...pan pójdzie za mną, bo jest pan...

Minęli Aleję i nagle ulicznik przeszedł na drugą stronę jezdni i zagłębił się w mroczną bramę odrapanej jednopiętrowej kamienicy. Czerwicki podążył za nim bez namysłu.

W bramie chłopak pisał coś na ścianie, ale Jan nie mógł tego zrazu odczytać, panował bowiem mrok.



Wytwarzanie zasłony dymnej, oto zwykły obrazek z manewrów wojskowych.

Nachylił się tedy i przeczytał półgłosem:

— „Dureń".

Z wściekłością szukał oczami andrusa, by wytargać go za uszy, gdy wtem dostrzegł za sobą kilka cieni i uczuł bolesny cios w głowę, który powalił go od razu na ziemię.

Świadomość jego urwała się nagle...

— — — — — —

Przywrócił mu przytomność ból, spowodowany upadkiem. Ręce miał związane, a usta zakneblowane. Nie widział nic, panowała bowiem zupełna ciemność, ale poczuł, że leży na mokrej trawie.

I wtedy posłyszał czyjś gruby głos:

— No, to mu dobrze zrobiło... Teraz zawiązać ślepia i w drogę...

W tej samej chwili jakieś brutalne ręce owiązały mu oczy szmatą, cuchnącą sokiem z fajki, poczem postawiły go na nogi.

Ujęty mocno pod ramiona i uderzony pięścią w plecy, musiał iść.

Gruby głos odezwał się znowu, tym razem widocznie do niego:

— Widzisz jak się łapie durniów! Kto inny nie dałby się tak głupio podejść...

Jan milczał nie tylko ze względu na knebel, tkwiący w jego ustach. Czuł się upokorzony i wściekły sam na siebie. Było mu teraz wszystko jedno, co się z nim stanie.

— I tobie, ośle, mierzyć się ze Sławiczem — pomyślał.

I znów, jak wtedy, gdy lodowato zimna ręka wytargała go za ucho, uświadomił sobie budujący fakt, że przecież i Sławicz doznał nie raz równie, a może więcej jeszcze upokarzających porażek. Było to, co prawda, już bardzo dawno, przed kilku laty, ale niemniej zaprzeczyć się temu nie da...

Przedziwną asocjacją myśli przypomniał sobie nagle lekcje angielskiego, jakie brał cztery lata temu, przypuszczając, że to może mu się to przydać w karierze urzędnika. Zaniechał ich szybko, zrozumiał bowiem, że tylko jedna rzecz może być pomocna karierze: protekcja. A potem lizusostwo. A potem... Do diabła! O czymże to myśli w takiej chwili?... Wąż — snake, staw — pond, drabina — ladder, proso — millet, sukno — cloth, wiatrak — windmill... Psiakrew, jest chyba bliski obłędu!

XXVII.

PRZYKRA NIESPODZIANKA

Przywiązali go do jakiegoś haka w głębokiej piwnicy, do której schodzili po kilku śliskich stopniach. Zanim odeszli, związali mu jeszcze nogi. Skrępowane ręce, skrępowane nogi, tułów przywiązany do haka wbitego w ścianę, oczy zasłonięte, knebel w gębie i piwnica, którą właśnie zamykają...

Nikt już nie odezwał się do niego ani słowem. Tylko, gdy zaryglowali drzwi, usłyszał szept:

— Z tym Sławiczem to mi się wcale nie podoba... Czy oni myślą, że go pokonają?...

— Głupi! Kto ci powiedział, że on tu dojedzie żywy?...

Odgłos kroków, oddalający się z każdą sekundą. I cisza, cisza, cisza... „Kto ci powiedział, że on tu dojedzie żywy?..." Czyżby ów żebrak nie był Sławiczem?! Kim był w takim razie?... Czy „tu", to jest miejsce, gdzie uwięziono jego, Jana, czy też jest to Sosnowiec? „Dojedzie", a więc chyba Sosnowiec... A jeżeli „dojechał" już dawno i jeżeli to on, ten żebrak?...

Nagle przebiegło coś po nogach Jana. Wstrząsnął się z obrzydzeniem, o ile pozwalały na to sznury, które natychmiast przypomniały swoje istnienie, wpijając się w jego ciało. Szczur... Czerwicki nie znosił szczurów, prawie tak, jak nie znosił grzanego piwa, którym czasem chciała go uczęstować Ag... Jagienka. Co ona robi teraz? A co porabia Irena? Oczy szafirowe i oczy szmaragdowe, oczy (płonące i oczy zimne jak lód, pełne zawsze oczekiwania... Włosy, czarne jak dżet i włosy, lśniące jak płynne złoto... Przeklęte szczury!

Biegały teraz po jakichś butelkach, słychać było bowiem brzęk szkła.

...wąż — snake, staw — pond, drabina — ladder, proso — millet, sukno — cloth, żużel — dross...

— Żużel — dross... Żużel — dross! Dross, dross...

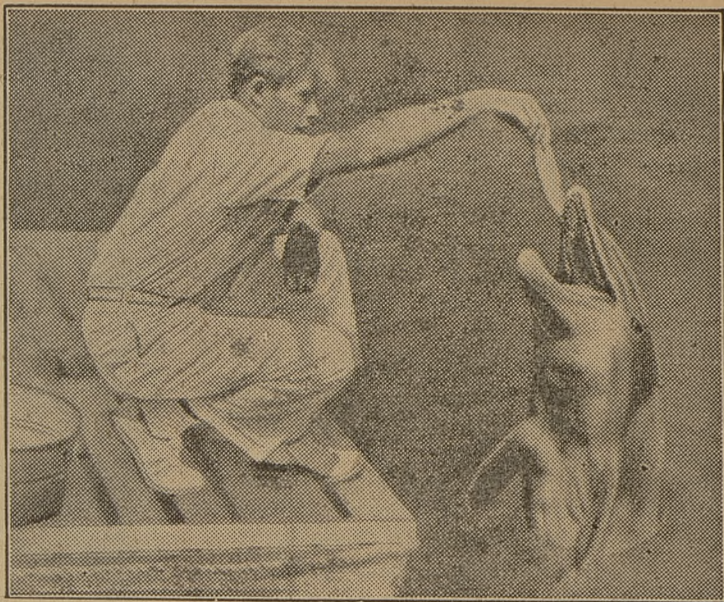
Jan przypomniał sobie nagle, że taki właśnie napis widział na planie, zgubionym i podstępnie zabranym później przez łysego żebraka, który nie był żebrakiem. Nieforemna figura w trapezie planu, przylegająca do ogrodzenia fabrycznego objektu... Kupa żużlu? Hałda, na którą zsypuje się odpałki z popielnika pod kotłami?... Wąż — snake, staw — pond, drabina...

Doznał nagle olśnienia. Pond — staw! Staw, z którego rąbie się zimą lód, by w lecie chłodzić piwo... Już wiedział wszystko! Trapez: z jednej strony, z zachodu, rzeka, Przemsza; z drugiej, ze wschodu tor kolejowy (bocznica kopalni „Renard"), z trzeciej, z północy, wieża ciśnień i betonowe komory wodne; z czwartej, z południa, ulica... ulica Browarowa... Browar, browar na przedmieściu, browar w Sielcu, browar czynny wprawdzie, ale posiadający bardzo wiele ubikacyj, może nie całkiem pustych, ale w każdym razie bezużytecznych i nieodwiedzanych przez personel. Krzyżyk po północnej stronie głównego budynku oznaczał miejsce, gdzie ukrywał się Sommersonne, a strzałka — najstosowniejszą drogę przez mur, by uniknąć zetknięcia z kimkolwiek.

Jakie to proste! Sławicz wykradł ów plan komuś, kto współpracował z Sommersonnem, komuś, dla którego plan ten stanowił drogowskaz, komuś, kto był Anglikiem... Kto to był? Tak, tak, przypomniał sobie teraz, że czytał to nazwisko w aktach sądowych, w związku z procesami, jakie Sommersonne wytoczył niikczemnym przyjaciołom... Służący, niewiarogodny świadek, bo karany za zabójstwo... William Stock... Stockpoyle: Stockpoyle, tak, William Stackpoyle! Plan był w posiadaniu służącego. Widocznie Sommersonne wyszukał ową kryjówkę, a później wręczył w jakiś sposób plan służącemu, by ten łatwiej mógł zorientować się w położeniu kryjówki. Słowami nie można było tego dokładnie opisać.

A jeżeli plan ów znalazł się w rękach Sławicza, to znaczyło, że wie on już wszystko... Znał on angielski, miał olbrzymią rutynę detektywistyczną, a przytem obdarzony był zdumiewającą intuicją. „Wcale nie życzę sobie, by dostał ją w swoje ręce ten... Żyd..." Wiedział zatem, że poza Sommersonnem istnieje zorganizowana szajka jego wrogów, nie chciał dopuścić do rozgrywki między nimi, pragnąc widocznie, by nastąpiła ona na premierze „Horsztyńskiego", na której przyrzekł swą obecność, a która ma się odbyć jutro wieczór, a więc akurat za 24 godziny...

24 godziny! Czerwicki uczuł nagle pewne odprężenie nerwów. 24 godziny! Może przez ten czas zajdzie coś... Pomyśleć, że teraz, gdy wie już, gdzie ukrywa się Sommersonne, gdy mógłby w ciągu godziny wyjaśnić niesamowitą zagadkę Straszliwego Trupa, gdy mógłby odzyskać Irenę i zdobyć nagrodę, która pozwoliłaby mu z górą 8 lat nie pracować w biurze, teraz nie może ruszyć ani ręką, ani nogą, nic nie widzi i nie może wydać z siebie głosu!



W akwarium na Florydzie po raz pierwszy udało się wyhodować delfina, który jak to widać na zdjęciu, ma nienajgorszy apetyt.

24 godziny... 1440 minut... 86400 sekund. Słyszy tykanie swego zegarka, upływają sekundy, upływają minuty, zaczną upływać godziny, których tylko 24 dzieli go od ostatniej rozgrywki...

Poczuł nagle głód i osłabienie. Od wczoraj nic nie jadł, a wstał dopiero z łóżka po wyczerpującej chorobie... Jakże chętnie zapaliłby papierosa! Cóż dałby za jeden, jedyny, głęboki haust dymu!

Wyciągnął ręce, skrępowane w tyle i zaczepił sznurem o hak, do którego był przywiązany w pasie, na szczęście, dosyć luźno. Pochylając się zwolna, aczkolwiek z wielkim bólem, doprowadził przecież do tego, że ręce miał nad głową. Potem przekręcił tułów i jeszcze wolniej opuścił ręce w dół. Mając wolne dłonie, zdołał teraz zerwać z oczu szmatę i wyciągnąć knebel, który tamował mu oddech.

Rozejrzał się. Piwnica nie była zupełnie ciemna. Przez niewielkie okienko, zakratowane i opatrzone prócz tego mocną siatką drucianą, wdzierało się do wnętrza seledynowe światło księżyca, który właśnie wzeszedł. Czerwicki dostrzegł przy ścianach wielkie półki, wymoszczone słomą, na których leżały całe szeregi butelek.

— Wino... — mlasnął językiem, czuł bowiem, że kilka łyków na przykład starego węgrzyna doskonale zrobiłoby mu.

W kącie piwnicy leżał stos pustych butelek. One to wydawały ów brzęk, gdy przebiegał po nich szczur. Jedna z flaszek była stłuczona i Jan pomyślał, że gdyby leżała bliżej, przeciąłby swoje więzy w przeciągu pięciu minut.

Zastanawiał się chwilę, wreszcie ujął dłońmi hak i skoczywszy w górę, rzucił się całem ciałem wbok. Sznur boleśnie wpił się w jego brzuch, ale nie zwracał na to uwagi, stopy jego bowiem znajdowały się zaledwie o parę milimetrów od stłuczonej butelki. Omdlewając niemal z wysiłku, wyciągnął się jak mógł najdalej i koniec jego buta dosięgnął utraconej szyjki. — Wtedy nagłym ruchem skurczył nogi i szyjka potoczyła się w jego stronę.

Reszta była już dziełem sekund. Czerwicki podniósł szkło i przeciął sznur, łączący go z hakiem, potem usiadł i rozciął więze na nogach, wreszcie, trzymając szyjkę między kolanami, pozbył się postronka na rękach.

Powstał i przeciągając zmęczone członki, odetchnął z ulgą.

— Połowa dokonana! — rzekł. — A teraz winko...

Przeszukawszy kieszenie, przekonał się, że jego prześladowcy nic mu nie zabrali. Nawet rewolwer spoczywał w tylnej kieszeni, co stwierdził z dziecinną niemal radością. Odkorkował tedy jedną z butelek, którą wziął z półki na chybił trafił, powąchał jej zawartość, a przekonawszy się, że rzeczywiście zawiera jakieś wino, pociągnął raz i drugi. Było słodkie, ale i mocne, toteż Jan odstawił flaszkę, obawiał się bowiem, że może go oszołomić po tylugodzinnym wygłodzeniu.

Zapalił papierosa i nie spojrzawszy nawet na drzwi, które niewątpliwie musiały być zaopatrzone w dobre zamki, skoro przechowywano w tej piwnicy wino, wyciągnął z kieszeni piłki do cięcia żelaza.

— Jakie to szczęście — szepnął — że capnęli mnie właśnie w tym ubraniu. Bez piłek siedziałbym tu do sądnego dnia! Ale to osły, to osły koronne! — dodał pod adresem swoich prześladowców. — Chciałbym widzieć ich miny, gdy zobaczą, że piwnica jest pusta...

Zabrał się z zapałem do przepiłowywania najpierw siatki drucianej, a gdy wyszarpnął ją po całogodzinnej pracy, przystąpił do usuwania kraty.

Tym razem jednak nie poszło mu tak łatwo, choć w końcu przestał zachowywać ostrożność i piłował, nie bacząc na zgrzyt, jaki wywoływał. Ociekając potem, zdołał wszakże wygiąć kraty i wślizgnąć się w niewielki otwór okienka.

Korzystając z momentu, gdy księżyc schował się za chmurę, jednym susem przesadził ścieżkę i ukrył się w krzakach.

Rozglądając się ostrożnie dokoła, zdumiał się niezmiernie.

Park, w którym się znajdował, był ogrodem, otaczającym willę dyrektora Wareckiego. Zbyt dobrze znał każde drzewo i każdy krzak, by mógł się omylić...

— „Jaskinia zbójców" działa... — szepnął.

Już miał podążyć dalej, gdy wtem dostrzegł jakieś cienie, przemykające tuż koło niego. Przycupnął wśród krzewów i wychylając głowę z gęstwy pożółkłych liści, patrzył.

Trzej mężczyźni, w których poznał, ku swemu bezbożnemu zdumieniu, inżyniera Kulickiego, jubilera Rosenberga i agenta Kunza, szli w stronę wejścia do willi, gdzie prawdopodobnie czekał już na nich dyrektor Warecki... (C. d. n.)

RAJ KOBIET

Moda pięknej bielizny

Temat modnej bielizny był jeszcze do nie dawna poza nawiasem. Nie mówiło się o tym w ogóle i każdy nosił to, co chciał. Dyskusja na ten temat nie istniała, bo kiedy nasze matki były jeszcze dziećmi, uważano, że rozmowy tego rodzaju były nieodpowiednie nawet w gronie najlepszych znajomych. Dla lepszego zo-



Modna suknia princesse wymaga obcisłej bielizny, skrojonej do figury.

brazowania tego okresu przypominamy jeszcze, że kiedy się wówczas wspomniało o części bielizny damskiej wsadzało się zawsze przed tym słowo „przepraszam". Brzmiało to mniej więcej tak: koszula nocna za przeproszeniem, lub reformy za przeproszeniem. Tego wymagał dobry ton.

Jednakże odkąd się kobieta wyemancypowała i odkąd omawia się wszelkie zagadnienia mody szczegółowo i publicznie, zanikła dawna, dzisiaj zupełnie nam niezrozumiała, pruderia. I słusznie, bo dziedzina mody, do której należy i wytwarzanie bielizny damskiej, daje wyżywienie niezliczonym masom ludzi.

Zresztą kwestia mody bieliźnianej musiała się stać powszechną i zainteresować wszystkich, tak samo, jak wszelkie inne dziedziny mody.

Między co dopiero przedstawioną erą a naszymi czasami był właśnie okres powstającej mody bieliźnianej. Niektórzy zainteresowali się nią od razu, inni zaś byli obojętni w stosunku



Suknia kloszowa, powiewna, dobrze leży tylko na lekko skloszowanej bieliźnie.

do niej długo, więcej nawet, bo potępiali ją wyraźnie, uważając za zbytek i przesadę.

Dzisiaj wie każda kobieta, że z tym stanowiskiem pogodzić się nie można i że to, co moda stworzyła w dziedzinie bielizny damskiej, jest wprost konieczne i nieodzowne. Musimy zdać sobie z tego sprawę i zrozumieć,



Wytworną bieliznę pod suknie wieczorowe i balowe szyje się z pastelowych jedwabii i przybiera gazą lub tiulem.

że kobieta, która chce być ładnie i elegancko ubrana, musi mieć i bieliznę dostosowaną do całości.

Dlaczego tak musi być, a nie inaczej, okazuje się samo przez się. Wiemy przecież z doświadczenia, że modna suknia princesse wymaga koniecznie obcisłej bielizny skrojonej do figury. Podczas gdy fason kloszowy wyglądałby wprost dziwnie na tego rodzaju bieliźnie.

Sposób wypracowania i wykończenia bielizny musi być dostosowany do celu, jakiemu ma ona służyć. Koszula i halka pod suknię wizytową nie może mieć tego samego przybrania, co bielizna sportowa, która powinna być praktyczna i mocna.

Ale ponieważ nawet przy najskromniejszych częściach wyprawy chce się uniknąć stylu przestarzałego, do którego zalicza się mereżki i ząbki, więc stworzono rodzaj aplikacyj. Wielkie aplikowane monogramy przybierają bardzo ładnie skromną bieliznę.

Projekty najnowszej bielizny są urozmaicone nie tylko krojem, ale i rodzajem materiału. W ostatnim czasie używa się do bielizny sportowej materiału w drobne paski lub kratkę, na których wypadają doskonale litery aplikowane z materiału gładkiego.

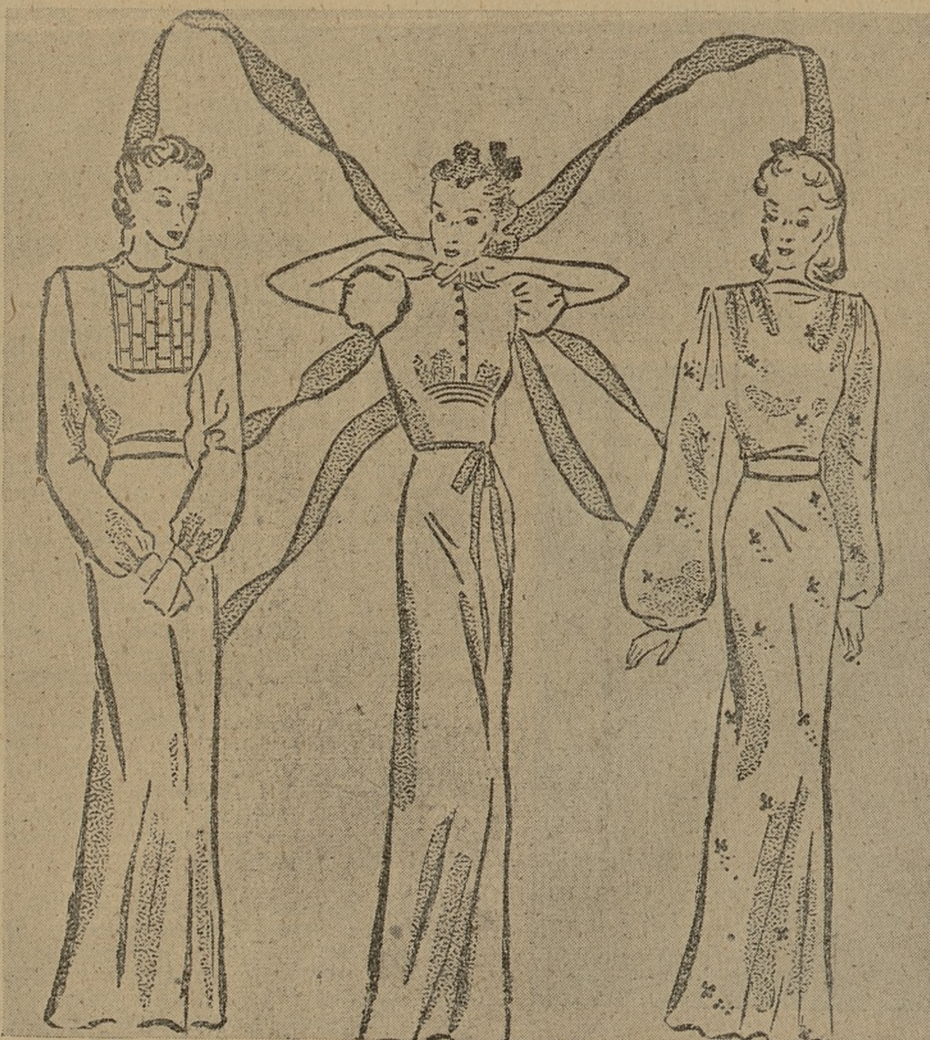
W bieliźnie bardziej eleganckiej, używanej pod sukienki wizytowe, widzimy materiały drukowane w kolorowe desenie oraz delikatne trykoty, ozdabiane subtelnym haftem w kolorze kontrastującym z całością. (Kolory raczej pastelowe).

Natomiast wytworną bieliznę pod suknie wieczorowe i balowe, szyje się z jedwabiu w barwach pastelowych i przybiera gazą, lub tiulem, drogimi koronkami, a także wykonuje się całość z koronki.

Dawniej wielka była różnica między skromnymi koszulami nocnymi, a bogato haftowanymi okazami, którymi wzbogacało się wyprawy ślubne. Obecnie unika się tej przesady i podaje modele, które mają rzeczywiste zastosowanie. Dziś koszule nocne krojem swym ogromnie przypominają sukienki i mogą od biedy ujść za sukienki domowe ranne (oczywiście tylko w obrębie sypialń i buduarów pięknych pań). Są one chętnie noszone z powodu swej lekkości i powiewności, zwłaszcza w gorące dni lata.

Trzy przepiękne fasony widzimy na naszych modelach.

Kaftaniki do spania są przeważnie wiązane z boku. Prosty ich fason ożywiają półdługie plisowane rękawki.



Koszule nocne krojem przypominają sukienki i są wykonane z toile de soie, batystów, drukowanych jedwabi i delikatnych tkanin, nadających modelom lekkość i powiewność.

Piżamy modne są w kolorach ciemnych, w których jest wszystkim do twarzy. Na ciemną piżamę nakładamy płócienną narzutkę bez rękawów, haftowaną wełną lub nićmi przybraną nałożonymi kieszeniami. Całość skromna i ładna.

Słusznie poświęca się bieliźnie tak samo dużo uwagi jak sukniom, bo estetyka i zamiłowanie pań do piękna musi objawiać się i w tej dziedzinie. W pierwszym i drugim wypadku są kroje zbliżone do siebie, a więc linia prosta i kloszowa. Prostota i skromność cechuje tak suknie, jak i bieliznę.

Nawet w upały elegancka pani winna wyglądać świeżo i ładnie

Upał, ah, jak gorąco!... Ogląda pani z przerażeniem swą błyszczącą twarz w lustrze i... tęskni do chłodu, cienia, do deszczu, niemal do śniegów zimy. Ale to przecież jest lato. A przypomnijmy sobie, jak do tego lata wzdychałyśmy w zimie. Tylko, że ludziom nie można dogodzić. Jest upał — słyszy się wszędzie: „co za gorąco! obrzydliwe powietrze! żeby nareszcie zrobiło się chłodniej!"... A ochłodzi się: „że też u nas nie może być gorąco!"... Nie narzekajmy więc na upał. Lepiej nauczmy się do niego przystosowywać. I w upalne dni może być pani ładna i świeża, nawet gdy pani mieszka w mieście i nawet gdy pani — biedactwo — pracuje w jakimś dusznym biurze.

Wstawać należy jak najwcześniej. I tak przecież pościel parzy i spać nie można, jak tylko słońce zaczyna atakować nasze okna. Więc ubrać się lekko — płócienna sukienka, przewiewne pantofelki na gołe nóżki i na czczo proszę wyjść na niedługi spacer. Ruch jeszcze mały na ulicach, jeszcze pachnie świeżość nocy. Jeśli mieszkamy w pobliżu jakiegoś parku, skweru, to tym lepiej!

Po takim spacerze należy umyć się w letniej wodzie i wytrzeć ciało rękawiczką, obficie zmoczoną w wodzie ze spirytusem toaletowym i wodą kolońską. Taki ranek i lekki przewiewny strój ogromnie odświeża panią na cały dzień.

Dużą rolę odgrywa też w upalne dni odżywianie się. Nie należy jeść dużo mięsa, — potrawy muszą być lekkie, lekkostrawne, z obfitością jarzynek i surówek. Oczywiście owoce, i — wbrew chęciom — mało płynów. To tylko na razie jest przykre.

Maquillage musi być jak najlżejszy, tylko najkonieczniejsze podkreślenie, czy zatuszowanie czegoś w twarzy. Dobrze jest rano obłożyć na pół godziny twarz plasterkami ogórka i zmyć potem zimną wodą. Jeśli policzki są w upalne dni zbyt czerwone — należy robić okłady z plasterków ogórka, nalanych na 12 godzin świeżym mlekiem. Jeśli pory skóry rozszerzone są pod wpływem słońca, dobrze jest obmyć twarz surowym mlekiem i sokiem cytryny (sok z połowy cytryny na pół szklanki mleka). Po obmyciu pozwolić temu płynowi zaschnąć na twarzy i zmyć zimną wodą po godzinie.



Należy ubrać się lekko — płócienny kostium, białe sportowe pantofelki — na przedpołudnie



Płócienna sukienka, lekki kapelusz i przewiewne pantofelki — na popołudnie.

Najbardziej niemiłym następstwem upałów dla eleganckiej pani jest pocenie się. Oto kilka środków do walki z tym przykrym stanem.

Należy dwa razy dziennie myć najbardziej pocące się miejsca ciała, przysypywać je proszkiem salicynowym lub wazelinowym i wcierać — maść terenlową. W wypadkach wydzielania przykrego odoru należy stosować kąpiele z nadmanganianu potasu dwa razy tygodniowo. W wypadkach wzmożonego pocenia się stóp — należy co dzień myć nogi w zimnej wodzie z dodatkiem kilku kryształków nadmanganianu potasu aż do różowego zabarwienia płynu lub w zaparze z kory dębowej. Po tym zabiegu osuszyć dobrze nogi i przypudrować proszkiem salicylowym.

Wsypywać do pończoch proszek salicylowy, wazelinowy lub dialinowy. Do bucików wkładać specjalne wkładki z łyka i posypywać je taniną. Pomiędzy palce, których skóra uszkodzona jest przez pocenie się, wkładać watę lub kazę.

Sztuka podkreślania ust w maquillage'u pań

Usta są w twarzy kobiety jednym z czynników decydujących o jej sex-appealu. Bywają nieraz usta bardziej wyraziste niż oczy. Powstała też cała nauka, na temat zależności kształtu ust od charakteru, przy ustach zazwyczaj szepce się pierwsze wyznania. Toteż ze względu na wielką wagę „sentymentalną", uczuciową i estetyczną ust, należy bardzo uważnie czuwać nad ich maquillage'em.

Rozpoczynając ranną toaletę, pani „robi" sobie najpierw twarz, pudruje ją i maluje, potem kładzie bieliznę i suknię, a dopiero na końcu zabiera się do zarysowania szminką ust. Jeżeli naturalna ich linja jest ładna, nie należy jej zmieniać, a tylko pociągnąć lekko pomadką, po czym rozsmarować ją palcem po powierzchni warg.

Jeżeli usta są zbyt wąskie trzeba im nadawać ładniejszy kształt za pomocą szminki. W tym celu robi się najpierw podkład z wazeliny na ustach, rozszerzając go nieco poza ich zarysy, aż do linii, którą chcemy nadać wargom, po czym obrysowujemy natłuszczone lekko miejsca pomadką.

Należy uważać przy tym na symetrię i dokładność rysunku, by uniknąć wyolbrzymienia jednej tylko połowy warg na niekorzyść drugiej.

W wypadku gdy usta są zbyt szerokie, zmniejszamy ich rozmiar w ten sposób, że akcentujemy pomadką głównie środek warg, boki pozostawiając nieumalowane. Jeśli zaś usta odznaczają się nadmierną szerokością warg, osłabiamy to wrażenie, malując je nieco poniżej naturalnej linii, resztę pozostawiając w barwie naturalnej, lub nawet zapudrowując na podkładzie z wazeliny.

A jeśli chodzi o rodzaj pomadki, to najkorzystniejsza jest zawsze tłusta, która nadaje wargom połysk świeżości i zabezpiecza powierzchnię ust od zbytniego wysuszenia. Róż ten jednak ma znowu tę złą stronę, że bardzo łatwo schodzi i plami serwetki przy stole i chusteczki do nosa i ustniki od papierosów.

Ostatnio słyszy się o najnowszym wynalazku chemików, którzy spreparowali szminkę na podstawie witamin. Jest ona podobno bardzo trwała, a pomimo to nieszkodliwa, gdyż witaminy w niej zawarte przyczyniają się do większej odporności skóry warg na zakażenie i do szybszego ich zagojenia się.

Będzie to róż do warg bezpieczny i higieniczny.

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●

JAN FELIKS PŁOCIENNIK

Przygoda na Helu

NOWELA

W klubie towarzyskim „Roma" było bardzo wesoło. Co niedzielę schodzili się członkowie i sympatycy na urządzane imprezy, które świetnie organizował gospodarz klubu, zapraszając bardzo często nawet znanych artystów i literatów.

Pewnej niedzieli konferansjer odezwał się w te słowa:

— A teraz — proszę państwa — urządzimy mały konkurs „między nami". Chodzi nam w tym wypadku o wydobycie ukrytych talentów. Dużo jest bowiem ludzi mających bujną fantazję, względnie własne przeżycia i nieraz opowieści ich są bardzo ciekawe. Na pewno chętnie by podzielili się swymi wrażeniami z szerszym ogółem, lecz nie mają ku temu okazji. Pisarzem zaś każdy być nie może — a ci tylko mają możność wynurzenia swych myśli przed szerokimi masami czytelników.

Proszę więc zgłaszać się na ochotnika. Słuchacze zaś niech robią sobie na kartkach uwagi, gdyż po skończeniu opowiadań — urządzimy głosowanie.

Za najlepszą opowieść wyznaczamy dziesięć złotych. Nie jest to dużo, ale na dzisiejszy kryzys i to coś znaczy „prawda?!

Zebrani nagrodzili mówiącego huraganem oklasków.

Do konkursu zgłosiło się czterech panów. Ostatni opowiedział swoją przygodę Julek Pochocki:

— Mieszkając w Rudzie Pabianickiej i będąc jeszcze uczniem szkolnym, w roku 1925 otrzymałem za dobre postępy i wzorowe sprawowanie się nagrodę i pochwałę.

Po wręczeniu nagród i świadectw wybiegliśmy gromadnie na podwórze, gdzie każdego niemal oczekiwali rodzice, którzy byli obecni przy rozdziale. Na mnie czekał tylko ojciec. Matki wówczas już nie miałem, zmarła mi bowiem tego samego roku na Wielkanoc.

Ojciec obiecał mi za promocję wyjazd nad morze, co było moim największym pragnieniem. Oczywiście „tylko" obiecał, lecz nigdy by do wyjazdu nie doszło z powodu braku... pieniędzy...

Wkrótce po tym ojciec mój odjechał, pozostawiając mnie u krewnych.

Zrozumiałem przeto, że z wyjazdu nad morze nic nie będzie, gdyż ojciec mój wyjeżdżał zwykle co najmniej na pół roku w celach handlowych.

Po wyjeździe ojca postanowiłem za wszelką cenę dostać się do Gdyni. Rozbiłem przeto skarbonkę w którą przez przeciąg roku wrzucałem wszystkie kieszonkowe grosze. Kolegę odpowiedniego też miałem, który był również sierotą. Korzystając więc z łatwowierności swych krewnych, którym skłamaliśmy, że jedziemy na trzytygodniowe wakacje ze szkołą, postanowiliśmy wyjechać.

Józik, — takie było imię mego kolegi, — miał również uciułanych kilka złotych — tak, że mogliśmy dostać się za nasze wspólne pieniądze do Gniezna. Na dalsze wydatki — przez namowę Józika — pożyczyłem na conto ojca od stryjka trzydzieści złotych. Zaznaczam, że kolega mój liczył czternaście lat, a ja zaledwie skończyłem dziesięć lat. Pożyczki tej — oczywiście — nigdy nie zapomnę, gdyż srogo za nią odpokutowałem.

Ogólnopolski wyścig sztafetowy Biskupin - Żnin

Pierwszy ogólnopolski wyścig sztafet odbędzie się w niedzielę, dnia 11 września br. **NA TRASIE 12.600 m BISKUPIN—ŻNIN Wlkp.** o nagrodę przechodnią Ilustrowanego Kurjera Pałuckiego w Żninie. Start odbędzie się przy wykopaliskach biskupińskich, meta na terenie Targów Pałuckich w Żninie. Zespół sztafetowy składać się będzie z 3 zawodników, którzy przebiegną kolejno odcinki trasy I. — 3.500 m, II. — 4.500 m, III. — 4.600 m. Poza nagrodą przechodnią (puchar), ufundowane są nagrody dla dalszych zespołów i indywidualnych zwycięzców. Wszyscy zawodnicy korzystają z bezpłatnego zwiedzenia wykopalisk biskupińskich, Targów Pałuckich i Zakładów Wydawniczych Krzyckiego. Wieczorem odbędzie się wieczornica sportowa z tańcami w salach p. Smorowskiej, Rynek. Zgłoszenia wraz z wpisowym 2 zł kierować należy do: Pozn. Okręg. Zw. Lekkoatletyczny Podokręg Żniński. Bron. Siuchniński, Żnin Wlkp. Gnieźnieńska 7 m. 2, najpóźniej do 7-go września br.

W połowie sierpnia wykupiliśmy bilety do Gniezna. Z Gniezna udaliśmy się pieszo w kierunku obranym przez nas na mapie, i to przez miasta: Kcynię, Chojnice, Starogard, Kartuzy, Wejherowo, Redę i stamtąd do Gdyni.

Gdynia była wówczas jeszcze małym, niezabudowanym miasteczkiem.

Ze strony Wejherowa, stał po prawej stronie stary, drewniany dworzec kolejowy, a po lewej nowy dworzec jeszcze całkiem niewykończony. Ulice również nie były wybrukowane, jedynie z obu stron drogi, co kilka metrów leżały kupy kamieni, przygotowanych do prac brukarskich. Gdynia bowiem została rozbudowana po naszej „wizycie".

Podróż z Gniezna do Gdyni odbyliśmy w przeciągu dwóch tygodni, nocując pod gołym niebem.

Już na wstępie wymarzonego celu, dostałem silnego bólu zęba. Lekarza-dentysty w samej Gdyni żadnego nie było, musiałem więc iść do Chylonii.

Z Chylonii udaliśmy się do Redy, a stamtąd do Pucka, gdzie zwiedziliśmy port wojenny. Dalszą podróż odbyliśmy przez Nową— Wielkąwieś, Kuźnicę, Chałupy, Jastarnię, Borek i stamtąd na półwysep Hel, dokąd postanowiliśmy ostatecznie dotrzeć.

Na Helu spać pod gołym niebem nie zaryzykowaliśmy. Józik znał dobrze język niemiecki, więc łatwo nawiązał rozmowę z właścicielem piekarni restauracji i pensjonatu zarazem. Józik przypadł mu do gustu dzięki swoim opowiadaniom — tak, że nocleg i kolacja były gratisowe. Weszliśmy więc na pierwsze piętro i zmęczeni, po długiej wędrówce, zasnęliśmy snem głębokim.

W nocy śniło mi się, że ojciec dał mi burę. W chwili, kiedy zamierzał mnie uderzyć — przebudziłem się. W pokoju było ciemno. Naraz ogarnął mnie paniczny strach, a włosy stanęły mi dęba.

Dom bowiem cały trząsł się, szyby przeraźliwe brzęczały, a do uszu mych dolatywało silne wycie, jak gdyby wszyscy diabli na rogach trąbili, a w takt potrząsali jeszcze łańcuchami.

Ze strachu schowałem głowę pod pierzynę i uszczypnąłem Józika, który wyskoczył z łóżka jak bomba. Usłyszał również i on hałas piekielny. Chwilę stał jak wryty. Naraz wskoczył tak prędko do łóżka, że znów ja z bólu wyskoczyłem, gdyż Józik uderzył mnie silnie w nogę. On znowu przeląkł się mnie i usiłował wyskoczyć, lecz nieszczęśliwie nadepnął sobie z przodu na koszulę, przez co głową uderzył tak silnie o krawędź łóżka, że nawet ja syknąłem z politowania.

Oprzytomniałem pierwszy i zapaliłem zapałkę, a od niej świecę stojącą na stole. Strach mnie przejmował, lecz na widok zbekanej i wystraszonej miny Józika tak się serdecznie roześmiałem, że później sam nie wierzyłem: czy to ja się śmiałem, czy też był to przenikliwy chichot szatana.

Józik, podbiegł do drzwi i począł walić w nie co sił. Na sygnały te jednak nikt nie odpowiadał. Wyjść nie mogliśmy, gdyż gospodarz zamknął nas na klucz, który zabrał ze sobą.

— Wiesz ty co? — odezwał się do mnie z płaczem Józik — czy czasem burza nie przyparła nas do lądu? Przecież widziałeś, że w niektórych miejscach półwysep jest wąski na 200 — 300 metrów.

Słysząc te słowa, jeszcze więcej zdrętwiałem. W tej samej chwili doznałem jeszcze silnego wstrząsu, co podwoiło moje przerażenie.

Józik oddał jeszcze kilka słabszych uderzeń, po czym cały spocony i omdlały, osunął się na podłogę. Świeca poczęła gasnąć i po chwili pokój zaległa ciemność. Słychać tylko było wciąż wycie i drżenie szyb. Wyczerpany, opadłem również przed łóżkiem. Czułem silny ból głowy. We śnie słyszałem powtarzający się chichot demona.

Na drugi dzień rano, obudził nas głos gospodarza. Na jego widok prędko powstaliśmy, nie wiedząc, gdzie mamy zwrócić zmieszane oczy. Gospodarz pośmiał się trochę i po niemiecku powiedział, że każe przynieść śniadanie.

Po śniadaniu podziękowaliśmy za gościnę i wyruszyliśmy w dalszą podróż.

Z półwyspu rozciąga się piękny widok na morze. Piękna zorza odbija się w nieskończonych wodach, jak w ogromnym zwierciadle; ogniste słońce zdaje się wydobywać z głębiny morza, a na całą rozległą płaszczyznę rzuca złote promienie.

Wspaniałe i ogromne jest morze, prawie niezmierzona woda! Czy na prawo, lewo, przed siebie, czy za siebie człowiek patrzy, widzi tylko wodę.

Kolor morza jest zwykle zielony, co pochodzi częścią od licznych zióż morskich, które nad brzegiem i na dnie morza rosną i z wodą się mącą.

Ulica na Helu była dość szeroka, lecz niezabrukowana. Na całym półwyspie są wielkie piachy i tylko drzewa iglaste.

Pensjonat, w którym gościliśmy, znajduje się w środku wioski,

Po rozglądnięciu się, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Komicznie wyglądał Józik z guzem na czole. Chcieliśmy zapytać się gospodarza o wypadek nocny, lecz wstyd zamknął nam usta. Rozglądałem się po całym półwyspie czy nie widać gdzie spalonego domu, względnie coś temu podobnego, lecz na próżno.

Na końcu wioski znajduje się apteka. Za apteką — po prawej stronie — widać las, a w głębi czerwony budynek, podobny nieco do małej fabryczki. Aleje w tym lesie są szerokie mniej więcej cztery metry.

Postępując obok siebie wolnym krokiem, weszliśmy z Józkiem w głąb lasu, rozglądając się ciekawie i badając okolicę.

W tym zatrzęsła się ziemia pod nogami, a przeraźliwy ryk niemal nas ogłuszył.

Józik dał takiego susa, że mnie przewrócił — a sam zawadził o zwitek drutu i rozciągnął się jak długi.

Straciłem w tym wypadku kawał ciała z kolana, Józik pokaleczył brodę, a na bandaż oderwała mu się przezornie „klapa" marynarki.

Z trudem podnieśliśmy się i jakoś dowlekli do apteki. Tam dopiero dowiedzieliśmy się, że w lesie jest stacja sygnałowa. W nocy była wielka mgła i aby uchronić przypływające okręty od rozbicia przez całą noc huczała syrena ostrzegawcza.

Zakończenia naszej przygody można się domyśleć. W domu wielkie lanie, które do dziś pamiętam, po tym starania się o przyjęcie do szkoły, albowiem rok szkolny dawno się rozpoczął, gdyż powróciliśmy dopiero na początku października.

Skończywszy, Julek Pochocki skłonił się lekko, i usiadł, oklaskiwany tak serdecznie, jak barwna była jego opowieść.

Przeliczono głosy, choć z góry można było spodziewać się zwycięstwa Pochockiego w konkursie.

— Proszę... — rzekł gospodarz Klubu, wręczając zwycięzcy nagrodę. Miał pan świetny pomysł, przepraszam, ucieszną przygodę. Winszuję.

— Dziękuję panu bardzo. A pieniądze, które mnie przyznane zostały, przeznaczam na fundusz dla biednych.

I znowu zagrzmiały oklaski. Julek Pochocki **wykazał, że nie tylko ma bujną** fantazję i miłe wspomnienia przeżyć wczesnej młodości, ale i dobre serce.

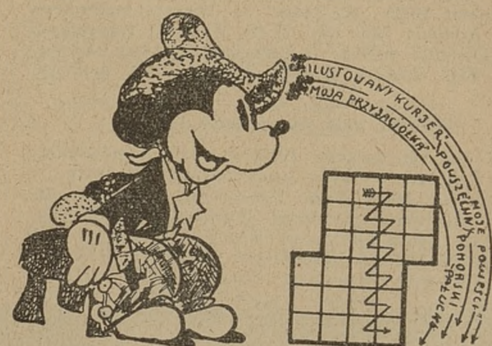
Jak łatwo można połączyć rzeczy piękne z pożytecznymi!...

KONIEC.

CHWILA ZASTANOWIENIA

LOGOGRYF

ul. F. Gałecki.



W podaną figurę wpisać 6 wyrazów o podanym niżej znaczeniu. Oznaczone dwa rządki, czytane na przemian w dół dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

1) Utwór muzyczny. 2) Instrument muzyczny ze strunami wspak. 3) W mitologii greckiej córka króla Etolii, kochanka Zeusa w postaci łabędzia. 4) Popularne przezwisko psa. 5) Imię niemieckie, u nas pogardliwie niedoświadczony. 6) W dawnej Polsce sądy, kadencje sądowe.

SZARADA

Cóż by młodość warta była
Gdyby nie miłości szał
Toteż Pan Bóg, wiedząc o tym,
Wszystkim ludziom serca dał.
Do mnie raz dwa garnie się jak dziecię,
A ja cały wniebowzięty!
Jak to bywa, sami wiecie!
A gdy szepnę lubej w uszko:
Moja jesteś już na wieki,
Ona cała zapłoniona
Opuściła swe powieki.
Niechaj wiem, że to nie złuda
Lecz wyśnione jasne sny
Luba! porzuć obce trzecie,
A mów do mnie tylko Ty!
Kwitnij że mi — płoń się cała
Wymarzony mój promyku —
Tylko błagam byś nie więdła,
Jak ta całość w wazoniku!

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 2 września br.

Rozwiązanie zadań z nr. 33 „Moich Pow.":

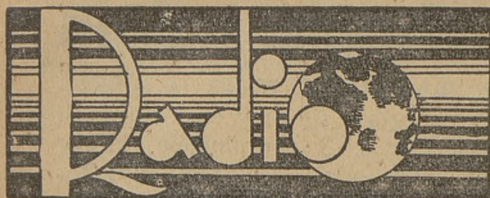
Konikówka: Poczynając od zgłoski „Czy" otrzymamy:

„Czynem kto karmi ducha głód,
Dług życia krwią kto iści,
Ten niewygasły płodzi ród.
Z przyszłością swą korzyści.
M. Konopnicka".

Logogryf: Tetmajer.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Jakubowski Jan — Kraków, Cichocki Zygmunt — Gniezno, Michalska Helena — Poznań, Klimczuk Hryć — Pińsk, Milke Henryk — Katowice. Marecka Marianna — Kłoda - Mała

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Jakubowskiemu z Krakowa i Cichockiemu z Gniezna.



Niedziela, dnia 28 sierpnia 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Nabożeństwo z Ostrej Bramy w Wilnie. Po nabożeństwie muzyka. 12.03 Poranek symfoniczny pod dyr. Grzegorza Fitelberga z Dorocznej Wystawy Radiowej 13.00 „Ewunia" — szkic literacki St. Wasylewskiego 13.15 Muzyka obiadowa 15.00 Audycja dla wsi 16.30 „Stradivarius" — komedia 17.00 Recital Hermana von Beckerath — viola da gamba 17.30 Tygodnik dźwiękowy 18.00 Podwieczorek przy mikrofonie: „Asy programowe z dorocznej wystawy radiowej" 20.05 „Ottorino Respighi" — koncert 21.00 Wesoła audycja 22.00 Kominiarz i młynarz czyli „Zalanie się wieży" 22.45 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 29 sierpnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja popołudniowa 15.15 „Wyprawy po skarby" — audycja dla dzieci starszych w oprac. Wandy Boyè 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Karol Maria Weber: Wariacje klarnetowe 18.35 Audycja Junackich Hufców Pracy 19.05 Chór Koła Młodzieży „Siew" z Krasienina — koncert 19.35 „Na plaży" — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Koncert rozrywkowy p. t. „Dookoła miłości" z dorocznej wystawy radiowej 22.00 Pięć wieków dawnej muzyki (XII audycja).

Wtorek, dnia 30 sierpnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja popołudniowa 15.15 Reportaż z obozu szybowcowego harcerzy — audycja dla dzieci 16.00 Koncert w wykonaniu orkiestry salonowej Rozgłośni Poznańskiej 17.00 Muzyka taneczna z Dorocznej Wystawy Radiowej 18.10 Recital Mieczysława Szaleskiego (altówka) 19.00 Recital śpiewaczy Stanisława Drabika 19.30 „Humor i piosenka" — koncert rozrywkowy 20.55 Audycja dla wsi 21.10 Muzyka z płyt 22.20 Muzyka współczesna.

Środa, dnia 31 sierpnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja popołudniowa 15.15 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 16.00 „Tak śpiewał Szalapin" — II-gi reportaż muzyczny 17.00 Muzyka taneczna i rozrywkowa z Dorocznej Wystawy Radiowej 18.10 Recital wiolonczelowy Tadeusza Lifana 19.00 Muzyka lekka (transmisja z Londynu) 19.40 W rytmie XX wieku — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Koncert chopinowski w wykonaniu Zofii Rabcewiczowej z Dorocznej Wystawy Radiowej 22.00 Muzyka kameralna — „Od Haydna do Ravela" (IX audycja).

Czwartek, dnia 1 września 1938 r.

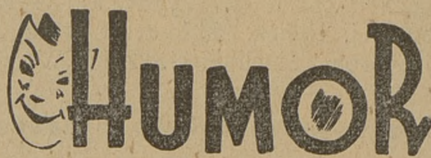
6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja popołudniowa 15.15 Wyprawa po skarby — audycja dla dzieci 16.00 Koncert solistów 17.00 Muzyka taneczna z Dorocznej Wystawy Radiowej 18.00 Muzyka skandynawska 18.30 „Szczęśliwi" — komedia radiowa 19.00 Z naszych pieśni — koncert Chóru Kolejarzy „Hasło" z Bydgoszczy 19.30 „Echa morskie" — koncert rozrywkowy p. tyt. „Na swojską nutę" z Dorocznej Wystawy Radiowej 22.00 Polska muzyka kameralna.

Piątek, dnia 2 września 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja popołudniowa 15.15 Cuda, cudeńka — wesoła audycja Gerżabka dla dzieci 16.00 Muzyka operetkowa 16.45 Autem przez Huculszczyznę — pogadanka 17.00 Muzyka taneczna z Dorocznej Wystawy Radiowej 19.00 Recital śpiewaczy Józefa Korolkiewicza 19.30 „Radca Stronć na Wystawie Radiowej" — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 „Radca na Wystawie Radiowej" — II-ga część koncertu rozrywkowego z Dorocznej Wystawy Radiowej 22.00 Koncert symfoniczny.

Sobota, dnia 3 września 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja popołudniowa 15.15 Słuchowisko dla dzieci p. tyt. „Skrzydlaty chłopiec" 16.45 „Wywczasy letnie dawniej, a dziś" — felieton 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Koncert solistów 19.30 Koncert rozrywkowy z Dorocznej Wystawy Radiowej 20.00 Audycja dla Polaków za granicą 21.00 Audycja dla wsi 22.00 Godzina niespodzianek.



MIŁOŚĆ

Gdy dwoje młodych ludzi pozna się, to są sobą oczarowani przez trzy godziny... Namyślają się przez trzy dni... Pożądają siebie przez trzy tygodnie... Kochają się przez trzy miesiące... adorują siebie przez trzy lata... i kłócą się przez trzydzieści.

WYNALAZEK

Znany adwokat obronił klienta od bardzo ciężkich zarzutów. Wyrok był uniewinniający.

— Panie mecenasie, nie wiem, jak mam dziękować — woła uszczęśliwiony klient.

Na to adwokat:

— Mój panie, odkąd Fenicjanie wynaleźli pieniądze, wyznania w rodzaju pańskich są zbyteczne.

NAWRÓCONY SZOFER

Hrabia Pętelka zaangażował nowego szofera który zaręczył, że jest nawróconym antyalkoholikiem. Następnego dnia szofer zjawił się pijany.

— Cóż to? — gniewa się hrabia. — Sami przecie zapewniliście mnie, że nie pijecie!

— Pardon, panie hrabio... — odpowiada szofer. — Wolnego... Mówiłem, że jestem nawróconym antyalkoholikiem i to jest prawda... Bo właśnie byłem antyalkoholikiem i teraz się nawróciłem...



— Pani się zdaje, że dzwonek w maszynie dzwoni tylko dlatego, by pani przypomnieć, że trzeba się upudrować?!..

MIŁOSIERNY

— Proszę pana, przyszedł krawiec po pieniądze.

— A czy dużo mu się należy?

— Sto dwadzieścia złotych.

— Biedaczysko. Na większą sumę nie wypada go już naciągnąć. Powiedz mu, że nowe ubranie zamówię już u innego.

PO CO TYLE KŁOPOTU?

W pewnym państwie sąd skazał jakiegoś komunistę na karę śmierci. Rząd tego państwa zwrócił się do Sowietów z propozycją wymiany komunisty na pewnego obywatela tego kraju, uwięzionego w Rosji.

Z Sowietów nadeszła odpowiedź:

„Po co tyle kłopotu z wymianą? Rozstrzelajcie tego komunistę na miejscu sami".

WYBÓR

W jednym z wytwornych magazynów w Paryżu mód defilują żywe modele przed klientelą w ostatnich kreacjach.

Ona: — Piękne suknie, prawda? Którą z nich byś wybrał?

On: — Hm... Brunetkę z niebieskimi oczyma.

DIAGNOZA

Pan Damazy zachorował. Wezwano konsylium miejscowego lekarza i z sąsiedniego miasteczka. Lekarze opukali chorego, po czym udali się na naradę.

— Więc co kolega uważa? — pyta jeden.

— Ja bym proponował zapalenie płuc.

MĄDRE WYJŚCIE

Kac i Kotek.

— Gdzie pan spędził urlop w tym roku, panie Kac?...

— Nigdzie... Siedziałem w mieście...

— Dlaczego?...

— Nie mogę w tym roku pozwolić sobie na wyjazd... Muszę nareszcie pomyśleć o moich wierzycielach...

— To nie mógł pan o nich myśleć w Krynicy?...

WIELKA SZTUKA!

Dwaj malcy rozmawiają:

— Wiesz, my mamy bardzo mądrego nauczyciela... On wszystko wie, wszystko umie...

— Phi... Wielka sztuka!... Od trzydziestu lat jest w tej samej klasie!

OGŁOSZENIA DROBNE

DWÓCH przystojnych kupców lat 28—30, wyzn. rzymsk.-kat. posiadają własny skład wartości 15.000 zł dobrze prosperujący. Z braku znajomości poszukują żon zzamiłowaniem do kupiectwa. Gotówka do powiększenia interesu pożądana. Panie do lat 28 zechcą oferty nadsyłać J. K. Makowska, Grudziądz — Sienkiewicza 10.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.